Numer 9. Należ. pocz. opł. ryczałtem. Dnia 1 Marca 1931



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Ceremonje.

Z katolickim uczonym Bruckerem dysputowała na temat religji pewna kobieta inteligentna i wykształcona, ale niewierząca dama. Uczony tak celnie odpierał wszelkie jej pociski, że wkońcu owa dama, czując się pokonaną, rzekła: Przyznaję, że Kościół katolicki ma w sobie wiele dobrego, ale te rozliczne zewnętrzne ceremonje są zbyteczne, powinne odpaść zupełnie, przez co religja zyskałaby wiele.

Uczony, który dotąd był dla tej damy nader uprzejmy, powstał nagle, zaśmiał się rubasznie i klepiąc ją po ramieniu zawołał: „Oj ty wielka gąsko, ty masz wyborne pomysły!...“

Dama usunęła się na bok i rzekła w uniesieniu: „Za kogoż to mnie pan masz? Czy nie są znane panu nawet najprotsze formy przyzwoitości?

Pani — odrzekł Brucker — sądziłem, że nie wymagasz żadnych ceremonij, skoro tak lekceważysz zewnętrzne obrzędy naszej religji; nie są one niczem innem, jak tylko formami przyzwoitości i czci wobec Boga.



Obraz i ramy.

— Nie chcesz mi kupić nowej sukni? Czy nie wiesz, że kobieta jest, jak obraz, który musi mieć piękne ramy?

Ambitny koń.

— Cóż? Zadowolony pan z konia, kupionego odemnie?

— Dosyć — tylko mi się nie podoba, że trzyma głowę spuszczoną nadół.

— Pewnie wstydzi się, że nie zapłacił pan jeszcze reszty za niego.



Między rzeźnikami.

— Jak tam bydło na targu?

— Owszem, udało mi się kupno.

— Cóżeś kupił?

— Świnię — ale powiadam ci: co za świnia! Prawie taka, jak ja.

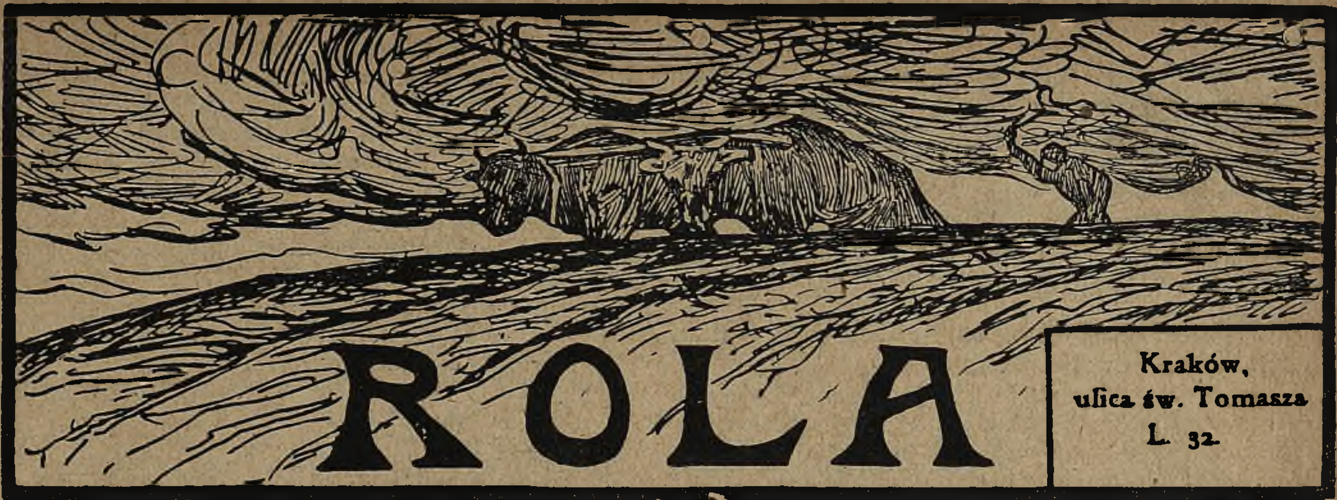


Oświadczyny.

— Jakże możesz w tak starem zniszczonem ubraniu oświadczać się ojcu o moją rękę?

— Nie gniewaj się, moje dziecko, ale doprawdy mnie raz w tych samych okolicznościach zniszczono zupełnie nowiutkie ubranie.

Numer 9. Rok XIV. Kraków, dnia 1 marca 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Żaden nie może dwom panom służyć.

Ludy przechodzące z pogaństwa na wiarę Chrystusową, nieumocnione jeszcze w wierze, często wahają się, jaką drogą iść mają. Taki człowiek niepewny, chwiejny, nie chce mieć nikogo przeciwko sobie, w myśl przysłowia: I Panu Bogu świeczkę, i djabłu ogarek.

Podobnie dzieje się, gdy prawdziwa wiara słabnie u człowieka. Zamiast zupełnie zaufać Bogu, spokojnie iść drogą nam przez Niego wskazaną, zaczyna kierować wzrok swój i swoją ufność po różnych manowcach.

I tak np., gdy w dzień ślubu deszcz pada, to ma być złą wróżbą dla młodych. To znowu innej osobie śniło się, że jej zęby wypadały, niechybnie ma ją czekać choroba. Ksiądz, kościół we śnie ma oznaczać śmierć. Głos sowy, wycie psa, pianie koguta podobną ma być wróżbą. Oczywiście są i dobre wróżby, jak np. znalezienie czterolistnej koniczyny, swędzenie lewego oka i t. p. w różnych okolicach naszego kraju różne. Zamiast ufać Bożej Opatrzności, wierzą psu, czy kogutowi i znane są wypadki, że wróżby takie wpływały tak denerwująco na osoby nerwowe, że rzeczywiście w podnieceniu wyrządzały sobie ciężkie straty, a silne wmawianie w siebie nieszczęścia, wiara w nie, może się częściowo spełnić.

Inny rodzaj zabobonów, to znowu noszenie przy sobie różnych talizmanów, rzeczy posiadających jakoby własności chronienia danej osoby od nieszczęść, od chorób. Wierzenia takie są niestety szeroko rozpowszechnione nietylko wśród prostaczków, lecz również wśród ludzi wykształconych. Dalej jeszcze idą wyznawcy różnych praktyk niedozwolonych, np. spirytyzmu. I tak niektórzy „myśliciele" w Chrystusa niebardzo wierzą, bo podobno Go na świecie nie było, to znowu w Jerozolimie znaleźli grób Jego ze śmiertelnemi szczątkami, na którym był napis: Jezus, syn Józefa. Bez znaczenia są fakty, że na Nim spełniły się proroctwa, Jego życie święte, cuda, Boska nauka, o której tak się wyraża odstępca od wiary katolickiej, uczony francuski, Rousseau (Russo): „Majestatyczność Pisma świętego zdumiewa mię, świętość Ewangelji przemawia do mego serca. Niepodobna, aby księga zarazem tak wzniosła i tak prosta w sobie była dziełem ludzkiem. Jeżeli życie i śmierć Sokratesa znamionują mędrca, to życie i śmierć Jezusa znamionują Boga". Lecz niechaj kot, zając, czy dziewczyna z próżnemi naczyniami przejdzie takiemu myślicielowi drogę, ogląda się, czyby ktoś przed nim nie przeszedł fatalnej drogi, by tylko on mógł zapowiedzianego przez kota nieszczęścia uniknąć.

Tak postępować nie wolno nikomu. Albo zaufamy Bogu i idziemy według Jego nauki, a na żadne śmiesznostki, zabobony, praktyki się nie oglądamy; albo Boga znać nie chcemy, zabobon dla nas zastąpi Jego miejsce, a wówczas nam biada. Dwóch dróg do nieba niema, ale jedna tylko jedyna.

„Żaden nie może dwom panom służyć, bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował, albo przy jednym stać będzie, a drugim wzgardzi". (Mat. 6, 24.) Którą drogę wybrać mamy, uczy nas, wzywa nas Chrystus-Bóg, Brat i Przyjaciel nasz ukochany: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę. Weźmijcie jarzmo moje na się, a uczcie się odemnie, żem cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek duszom waszem. Albowiem jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemię moje lekkie". (Mat. 11, 28—30.)

Jan Pelczar.

Cecora.

Powieść historyczna.

IV.

Było blisko północy, gdy do obozu przybyli.

Na widok hetmana czujne straże sprezentowały broń, Żółkiewski zlekka uchylił głowę i wjechał między namioty.

Zdziwiła strażników ta nocna wyprawa wodza. Wżdy nie języka zabrać pojechał, bo to nie hetmańska rzecz, a na szlakach tatarskich cicho i głucho było; wśród dnia parę jastrzębi jeno zakołowało w błękitach, ale to codzień tak bywa, gdy pogaństwo stada ptactwa pędzi przed sobą. Roi się wtedy step od wilków żarłocznych, a sklepienie niebieskie od kruków i wron. Hajducy stojący na czatach zaczęli szeptać:

— Trzy godziny nie było hetmana.

— Samotrzeć wyruszył.

— Skierował się ku Białemu Kamieniowi.

— Co to takiego jest brachu?

— Co to takiego jest? — zaszeptano.

A stary zaporożec, z wąsiskami spadającemi aż na piersi, z czapką baranią, pochyloną ku tyłowi głowy, od dzieciństwa niemal sprawiający służbę przy Żółkiewskim — tak rzekł:

— A ja wam skażu, panowe hromade — szo je?

Nastawiono słuchy.

— Hetman czarował step!

Psykanie dało się słyszeć, jako objaw zdziwienia.

— Nie przejdzie teraz bisurmanin przez szlak czarny.

— Nie otroczy się łupem dobytku naszego.

— Ni dziewki nam porwie, sobaka!

— Na pohybel jemu!

— Na pohybel!

I wieść pobiegła pomiędzy żołdactwem o tajemniczej wyprawie hetmana, o czarowaniu stepu, o pewności zwycięstwa.

Na odgłos tętentu kopyt końskich, który głucho rozlegał się wśród sennych namiotów, tu i tam jakaś głowa wysunęła się z za płótna, ten i ów szepnął:

— Hetman obóz objeżdża.

— Czy on śpi kiedy? — mruczała szlachta.

— Charakternik! — szeptała brać zaporozka.

Przed namiotem hetmańskim Plichta z konia zeskoczył i podtrzymując strzemię zsiadającemu wodzowi, odezwał się:

— Zda się, że i wasza miłość jest opiekunem Halszki Jaszczołdówny?

— Ano, tak!

— Bądźże i moim... — dodał rycerz.

— A mówiłem — rzekł, śmiejąc się hetman — że serce waćpana gdzieś na rozstaju siedziało?...

Plichta zakłopotał się.

— A bo ja wiem!... — zawołał jakby z rozpaczą.

Zdjął czapkę, ucałował rękę hetmana, który ojcowski pocałunek na czoło jego złożył i rzekł:

— Jakoś to będzie, jeno raz już waszmość na szeroki gościniec wyjedź!...

Skierował się ku namiotowi, a Kurzański za łokieć Plichtę ułapił i szepnął:

— Rad jesteś ze mnie?

— Pomagaliście mi uczciwie, ale i sami coś szeptaliście Halszce na ucho.

Zapraszałem się na chrzciny.

— Ojej — to zawcześnie!...

— Zawżdy lepiej, by wcześnie sobie supełek zrobiła, a ty także nie zapomnij, że miód lubię.

Od tej chwili zaczął tykać Plichtę.

— Słuchajcie, panie Kurzański — rzekł rotmistrz — mam prośbę do was...

— Łżyj waćpan!

— A to co?...

— Z serdeczności tak powiadam, boś mi do serca przypadł.

— Przepiszcie mi piosenkę waszą.

— „Gdy Mars uderzył?..."

— Nie, tamtą drugą.

— „Kiedy Kupido w centrum serca strzeli?"

— Tę właśnie...

— Spodobała się?

— Bardzo udatna!...

— Nikomubym tego nie uczynił, ale dla ciebie uczynię, jeno mojego autorstwa nie zaprzecz.

— Co znów!... dla siebie chcę ją mieć, ino dla siebie.

Pożegnali się.

Plichta oddał konia czekającemu pachołkowi i powoli do swojego namiotu się skierował. Szedł zamyślony, przystawał co chwila, jakby sobie coś przypominał, czy o czemś poważnem myślał.

— Nie będę synem swego ojca, jeśli ta dziewka nie zadała mi czegoś! Medalik mi dała — rzekł po chwili — a rosa niebieska z jej ślepków na czoło mi upadła. Pohaniec ze mnie, jeśli nie miłuję jej!...

Wąs omotał naokoło wskazującego palca i wszedł do swojego namiotu. Rozebrał się i rzucił na łoże, futrem niedźwiedziem zasłane.

Plichta widząc, że do świtu godzin parę jest jeszcze, rzucił się na niedźwiednię i wnet usnął.

I znów przed nim zjawiła się Adme, którą on wesołym uśmiechem powitał. Pochyliła się, białem ramieniem otoczyła szyję jego, pierś na pierś, usta na usta położyła i całować zaczęła. Plichta otoczył rękami jej kibić wiotką, jej ciało jędrne, poddające się pieszczotom lubym i uściskiem za uścisk, pocałunkiem za pocałunek odpłacał. Czuł jak paliła się w nim krew, jaki ogarniał ją pożar. Tulił i pieścił, całował bez pamięci i szeptał:

— Boga mi! jeżeli jest inna, którąbym nad ciebie miłował!...

Wtem coś zawarczało raz, drugi i trzeci.

Plichta zerwał się z pościeli.

Świtało — biły rotne i pułkowe bębny — obóz się budził.

Na powiekach Plichty jeszcze sen ciężył, policzki miał rozpalone, usta jakby gorączką spiekłe, pierś dyszącą. Przypomniał sobie, że miał wyjechać na spotkanie Halszki — i serce mu zabiło, ale przypomniał zarazem, jaki sen miał i ręce rozpaczliwie opuścił. Położył dłoń na pierś ciężko dyszącą i dotknął medalika Halszki, który mu z błogosławieństwem na szyję wczora włożyła. Wziął go w palce, podniósł i pocałował.

Po chwili szepnął:

— Pohaniec ze mnie!... Niech sto tysięcy białogłów zęby do mine wyszczerzy, a rozmiłuję się w każdej! Kat wie! czy mój protoplasta bisurmaninem czasami nie był!...

Bębny warczały.

— Gil! — huknął Plichta, widząc karła czyszczącego obuwie przed progiem namiotu. — Co tam na dworze?

— Mgeła, panie rotemistrzu.

— Masz ze dwie konwie wody?

— Mam, panie rotemistrzu.

— Zlej mi na kark!...

Gil wziął konwie, wygramolił się na duży pień drzewa koło namiotu stojący i zlał zimną, źródlaną wodą głowę rotmistrza.

— Brrr... Dobrze!... a to mnie męczyły humory paskudne.

Za chwilę był gotów do wymarszu.

Ruch w obozie wzmagał się — zwijano namioty, siodłano konie.

Plichta ruszył do hetmańskiej kwatery.

Mgła była tak okrutna, gęsta a biała, że o kroków kilka towarzysz towarzysza nie poznawał. Podnoszące się z ziemi opary, wilgotne były, lecz ciepłe. Dzień zapowiadał się pięknie, jeno wszechmocne słońce zejdzie i ład zrobi. Namiot hetmański był już zwinięty. Żółkiewski stał w otoczeniu wodzów i wydawał rozkazy. Stanisław Koniecpolski, hetman polny koronny, z dwutysięcznym zastępem jazdy pancernej przybył nocą i wzmocnił siły wojsk. Wręczył też Żółkiewskiemu list od króla, który zalecał hetmanowi baczność, zresztą w działaniu rozwiązywał mu ręce. List królewski kończył się słowami:

„Bacz miły nam zawsze i z najwierniejszych najwierniejszy, panie hetmanie koronny, że ostatnia siła Rzeczypospolitej przy tobie i w tobie jest. Nie daj Bóg nieszczęścia, a klęska wielka spadnie na to królestwo nasze“.

Ze zmarszczoną brwią czytał Żółkiewski pisanie Zygmunta, poczem opuścił ku ziemi rękę z listem i tak stał chwilę. A z mgły mlecznej wyłoniły się okrzyki zapału i radości — to wojsko witało zastępy Koniecpolskiego.

— Jak na gody idą! — odezwał się hetman polny.

— A król mi pisze: „bacz!“ — rzekł Żółkiewski.

— Na szablach rozniesiem pohańców!

— Większej wiary, niż ja i waszmość nie masz!

Plichta podszedł. Żółkiewski zwrócił się ku niemu.

— Co widzę? waćpan tu jeszcze?...

— Chorągiew moja gotowa — jeno...

— Halszka Jaszczołdówna na waszmości czeka — zaśmiał się hetman. Wżdy sam mówiłem, że waszmość pana ku bezpieczeństwu jej poszlę. Spiesz waszeć!... bo ona mgła Jasinowskiemu obłędem stanie i jeszcze do obozu drogę mu przegrodzi.

— Spiesz, Kosteczku, a hukaj! — odezwał się z za pleców hetmana Kurzański — bo ręczę ci, że Symforcio, jak zając, omykiem kiwnie, że i huż — ha! nie pomoże.

— A drogę znasz? — zapytał hetman.

— Nie zmylę.

— A ja ci powiem tak czyń: — rzekł Kurzański. Jak wyjedziesz na step, to obracaj się we wsze strony, jak Marzaneczka na żerdzi. Palpitacja ci powie, czy na wschód, czy na zachód, czy na południe masz jechać; zważ także, ku jakiej stronie ślinić będziesz, a na pewniaka trafisz!...

— Bodaj was! — zaśmiał się Plichta.

Skłonił się hetmanom, dosiadł wierzchowca i znikł w zgęszczających się ciągle oparach.

Step wyglądał jak morze, zalany cały mgłą białą. Olbrzymie bodiaki, rosnące na mogiłach, przybierały postaci potworne, człek zabobonny za upiory je wziął, które wyciągają drogę i uchwycą, pociągną, zduszą. Świt blady nie miał jeszcze mocy tyle, by te białe westchnienia ziemi promieniem swoim rozbić, przesiąknąć, ozłocić. Słońce marudziło ze wstaniem, a wiatr nad ranem usnął i nie rozbudził się dotąd.

Drabiniastym wozem, wysłanym kobierczykami, drogą ku obozowi jechała panna Małgorzata i Halszka. Jasinowski na koniu cwałował przy nich, raz wraz bodząc rumaka ostrogą, który co chwila tulił uszy, chrapał i w bok się rzucał. Trwożyły go wyłaniające się z mgły krzewy i chwasty, pan Symforjan co chwila harapem do posłuszeństwa go zmuszał, lub mitygował słowami:

— A czego?... już?... Hola — hola!... Widzisz durniu, że to bodiak, nie strach żaden!

Halszka rozglądała się bacznie dokoła. Ta podróż wydawała się jej niemiłosiernie długą. Sto mil już odjechali od Jagodyniec, a obozu jeszcze widać nie było... A tu, jakby na złość, wszystko przed jej oczyma ta mgła zasłoniła, na domiar złego niepoczciwe rozbiło się serce, a tak nierówno bije; zastuka, to przestanie i znów uderzy, ale z mocą taką, że się zapiera dech w piersi.

— Panie wuju! czyśmy nie zbłądzili czasami? — spytała.

— Znam ja lepiej tę drogę, niż waćpanna zachcianki własne — odparł opryskliwie Jasinowski.

Halszka przygryzła wargi aż do krwi i szeptem rzuciła woźnicy:

— Spiesz, Artem!...

— Stój! stój!... — zawołała nagle panna Małgorzata.

Wóz się zatrzymał.

— Co tam, cioteczko?

— Sennik gdzieś zgubiłam...

— Cioteczko! — jęknęła Halszka.

— Musiał się wysunąć z torebki pani siostry — rzucił Jasinowski, pokręcając wąsa. — Zabawią się nim zające stepowe i jak kapustę schrupią...

— Jak to dobrze, że we Lwowie kupiłam ich dwa! — uspokoiła się ciotka. — Jedź Artem!...

— Spiesz, spiesz! — dodała cicho Halszka.

Jasinowski koso spojrzał na panią siostrę i pocwałował przy wozie.

Konie rączego szły kłusa, ale nic prócz mgły i wynurzającej się z niej równiny stepowej, widać nie było. Halszce zbierało się na płacz.

— Czyśmy Biały-Kamień minęli? — spytała woźnicy.

— Zdaje się — odpowiedział.

— Zdaje się!... — szepnęła.

W oczach zakręciły się łzy.

Powoli perłowa mgła przybrała barwę srebrzystą. Widocznie władcze słońce posłało heroldów swoich, bo chciało ziemi się przyjrzeć i swój majestat pokazać.

Halszka wytężyła wzrok, zdawało się jej, że w jednem miejscu na białem prześcieradle oparów, jakaś ciemna zarysowała się plama.

Uniosła się nieco i rękę przyłożyła do serca.

Cień się poruszył szybko — i — na pysznym, złotogniadym rumaku, w stroju rycerskim, z rotmistrzowskim buzdyganem w ręce, ukazał się Plichta.

— A!... — krótkie wyrwało się z piersi Halszki.

Plichta uniósł szyszak ku górze i skłonił się jadącym:

— W zdrowiu, a bez przygody — czy tak?

— Gdzie obóz? — zapytał Jasinowski.

— O staj kilka — pułki wnet ruszą, pan hetman czeka na waszmość państwa.

— Słowny z waszmości rycerz — odezwała się panna Małgorzata. — Zupełnie tak, jak Supronicz, brat mój nieboszczyk.

— Dogodziłem jeno potrzebie własnego serca — odrzekł Plichta, podnosząc oczy na Halszkę.

Jasinowski, jadący dotąd po stronie panny Małgorzaty, pomknął koniem ku Halszce, ale Plichta dał silną ostrogę rumakowi swojemu i wnet odsadził pana Symforjana od wozu.

— Poczkaj, ubije się Turek — szepnął Jasinowski i rad nie rad powrócił na dawne miejsce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W wieczorną godzinę.

(Opowiadanie.)

Któż z nas nie lubi wspominać tych miłych chwil dzieciństwa pełnych cudowności i baśni?

Wspomnienie niesie nas do tych radosnych wieczorów zimowych, kiedy to siweńka babunia, lub mateczka siadała z jakąś robótką u kominka, a my otaczaliśmy ją kołem, zasłuchani i prawie zawiśli oczyma na jej ustach, prawie dech wstrzymując, by nic nie uronić z jej przecudnych baśni i legend.

O, chwile radosne, beztroskiej młodości, co już minęły i nie wrócą!

Lecz sami teraz snując przędzę wspomnień, opowiadać będziemy malutkim słuchaczom to, co sami kiedyś słyszeliśmy z ust ukochanej babudni, kiedyto w wieczornej godzinie zimowego dnia słuchaliśmy jej legend bez końca.

— — — — — — — — — — — — — — —

Była to niedziela, dzień był mroźny, wicher wył tak przeciągle i żałośnie, że zdawało się nieraz, że człowiek płacze i zawodzi w przestworzach.

Mrok zapadał szybko. Wiatr huczał, pędząc tumany śniegu po polach, a raz po raz z wściekłością miotając śnieżną kurzawą w okna.

W piecyku palił się wesoły ogień, niecąc miłe ciepło wokoło.

Kilka starszych osób skupiło się w pobliżu pieca, gwarząc wesoło i opowiadając sobie różne przeżycia. Rozmowa nie wiem jak zeszła na temat strachów i upiorów. Dzieciaki, a była nas spora gromadka, ucichły w jednej chwili, i przykucnęły u kolan starszych, i z zajęciem i ciekawością słuchając tych opowiadań, a raz po raz któreś oglądnęło się trwożnie po ciemnych kątach, czy aby tam gdzie nie czai się jakie licho.

— Opowiedzcie nam wujku, jak to było z tą rączką w murze? — prosi któreś z dzieci.

— Już wam to kiedyś opowiadałem i nie jest to przecież tak bardzo ciekawe, — no, ale niech i tak będzie.

Mali słuchacze skupili się bliżej i oczyma zawiśli w niemem oczekiwaniu na postaci „wujcia“, a w pokoju po niedawnej wrzawie zapanowała cisza jakby makiem siał.

Wujcio tymczasem usadowił się wygodnie w miękkim fotelu, wziął parę łyków herbaty, odchrząknął, i tak zaczął:

— Pamiętam, chłopcem byłem wówczas może ośmioletnim, było nas ośmioro rodzeństwa, rodzice mieszkali w podmiejskiej wsi, w jednem z domków „trojaków“, zbudowanych w kształcie czworoboku, które miały z tyłu wspólne podwórze, czwartą ścianę tworzył mur z bramą, przy niej gromadzono w specjalnem dole nawóz ze śmieciami.

Pewnego razu wieczorem, przed udaniem się na spoczynek, odmawiałem pacierz przy łóżku, gdy kończyłem, podniosłem głowę, a tu widzę malutką rączkę dziecinną, wysuwającą się ze ściany do łokcia, i znów znikającą. Przecieram oczy myśląc, że to złudzenie, ale nie, po chwili powstarza się to samo: naga, malutka rączka wyciąga się do mnie i znów niknie trzykrotnie. Wrzasnąłem przeraźliwie i wystraszyłem porządnie całą rodzinę, lecz opowiadaniu memu co widziałem nikt nie wierzył, wszyscy się wyśmiali, a ojciec zburczał mnie porządnie.

Zmartwiony na serjo, ale nieco uspokojony, poszedłem spać.

W śnie ciągle widziałem tę małą rączynę, która zdawała się mnie przyzywać do siebie. W nocy zbudziłem się pod wpływem ogromnego pragnienia, i mimo strachu, wyszedłem do kuchni, by się napić wody. Odkręciłem więc światło w lampie i z trwogą patrzę na fatalną ścianę, czy aby znów rączki nie ujrzę. Uspokojony, czyniąc wysiłek bohaterskiej odwagi, ruszyłem na palcach do kuchni i już sięgałem po ożywczy napój, gdy w jasnej smudze światła, padającego z pokoju przez otwarte drzwi, ujrzałem olbrzymiego kota, był biały, szedł wolno w stronę drzwi do sieni i raz po raz oglądał się na mnie, jakby chciał się przekonać, czy idę za nim. Przy samych drzwiach zniknął. Chciałem uciekać, ale trwoga odjęła mi siły, więc wrzasnąłem tak przeraźliwie, że w jednej chwili wszystko co żyło, znalazło się na nogach. Oczywiście nikt nie wierzył mej zjawie, a ojciec był tak gniewny, że pobudziłem wszystkich, i znów dostałem tęgo wskórę. Z płaczem wróciłem więc do łóżka ślubując sobie, że choćby się paliło, to nawet nie pisnę.

Zasnąć już nie mogłem do rana. Do świtu jeszcze było daleko, kiedy na podwórzu usłyszałem jakieś dziwne szmery i cichą krzątaninę. Myślałem: pewnikiem złodzieje! — lecz po chwili wszystko ucichło.

Zegar bił trzecią nad ranem, i leciutki brzask wschodzącej jutrzenki zaróżowił niebo. Chciałem już stanowczo zasnąć, kiedy ucha mego doleciał, zrazu cichy, a później wyraźniejszy i jakby przytłumiony płacz dziecka. Myślałem, że to znów jakieś szatańskie mamidło po raz trzeci mię nachodzi, począłem więc gorąco a cichutko szeptać pacierze, równocześnie nadsłuchując, lecz płacz nie ustawał. Rączka dziecinna, którą z wieczora widziałem, znów jak żywa stała mi przed oczyma, więc ostrożnie a bojaźliwie obejrzałem się na fatalną ścianę.

Nakryłem się pierzyną, by nic nie słyszeć, lecz jak na złość, ciągle słyszałem to żałosne kwilenie. Nie mogąc już wytrzymać, spocony jak mysz, wylazłem ostrożnie z pod pierzyny i na palcach skradłem się do łóżka matki, zbudziłem ją cichutko.

Patrzała na mnie zdumiona i gniewna; po raz to drugi ją budziłem tej nocy. Nim zdołałem powiedzieć o co chodzi i ona usłyszała tajemnicze kwilenie. Wstała, i zdziwiona nasłuchiwała, nie mogąc się zorjentować, skąd to pochodzi. Opowiedziałem jej dziwne szmery, a potem ten płacz. Matka, nic już nie mówiąc, zarzuciła na siebie ubranie i wybiegła na podwórze. Patrzałem przez okno, i widziałem, że skierowała się prosto na kupę nawozu, rękoma odrzuciła część, a potem wzięła na ręce jakieś zawiniątko, z którego ku memu przerażeniu ujrzałem zwisającą posiniałą z zimna rączkę, takusieńką, jaka mi się z wieczora ukazała, i która po dziś dzień stoi mi przed oczyma.

Matka wykąpała uratowane maleństwo. Pokazało się, że wyrodna matka w ten sposób chciała się pozbyć dzieciny, za co też była aresztowana. A com przeżył, tom opowiedział, i koniec.

Marja Wawrzykówna

W odwiedzinach u syna.



Kiedy dziecię przychodzi na świat, rodzice ani nie myślą o tem, jaka je czeka przyszłość w dalszem życiu. Starają się przedewszystkiem, aby było zdrowe, aby nie wrzeszczało po nocach i nie przeszkadzało spać strudzonym pracą domownikom.

Ale gdy to dziecię zacznie podrastać, gdy liczy już lat kilka, niemal każdemu ojcu i każdej matce przychodzi na myśl, co też będzie w przyszłości z ich dziecięcia, czy wyrośnie na porządnego człowieka, czy będzie miało byt zapewniony, albo też będzie biedę klepało. U włościan, posiadających ile tyle gruntu i chałupinę, choćby lichą nawet, troska ta jest mniejsza. Rodzice po największej części nie myślą o tej przyszłości; wierzą w to, że jakoś to będzie, A więc mały Bartuś, czy Wojtuś odpędza kury z zasianego zboża, poczem dostaje funkcję ważniejszą i odpowiedzialniejszą: pasienie gęsi na ugorze, a wkońcu otrzyma nawet nadzór nad cielętami. Z biegiem lat dopilnuje już bydła u sąsiada, a jeszcze później idzie z sierpem, czy motyką do roboty, póki sił większych nie nabierze, by stanąć z kosą na łącznym łanie, lub z cepem na boisku. A potem najmuje się gdzieś do roboty, albo za nią wyjedzie zagranicę, a czasem nawet się ożeni, by nie zabrakło biedoty na świecie. Bogatszy dostanie kawał gruntu na własne gospodarstwo, albo się do gruntu przyżeni i pcha biedę aż do śmierci.

Gorzej jest gdy rodzice nie posiadają ani gruntu, ani żadnego majątku, gdy żyją wyłącznie z pracy rąk własnych. Bo i ci przecież jaką taką przyszłość swojemu maleństwu chcą zapewnić. O ile nie dadzą go już w dziecinnych latach na twardą służbę u ludzi, to starają się zapewnić mu jakiś „fach" w przyszłości. Niejednokrotnie uda im się umieścić małego „nygusa" na praktyce u rzemieślnika. Och opłakana to praktyka! Nim opłakane lata terminu upłyną, ileż biedactwo musi znieść chwil przykrych, ile usłyszeć cierpkich słów, ile odebrać poszturkiwań i t. p. upokorzeń. O ile chłopięcia nie zepsuje zdemoralizowane otoczenie, znosi ono swą biedę cierpliwie i wkońcu otrzymuje oczekiwane z utęsknieniem wyzwoliny, aby pchać znów dalej swą ciężką taczkę żywota.

Na naszym obrazku widzimy taką terminującą biedotę. Dała ją matuś do szewca, aby tam praktykował i „wyszedł na ludzi". Obdarte to i bose, a widać i głodne, bo z jakąż żarłocznością zajada przyniesioną mu przez rodzicielkę bułkę. Z miny biedactwa poznać, że więcej się cieszy otrzymaną bułką, aniżeli obecnością matusi. Może i nią się nacieszy, ale naprzód musi zaspokoić głód, który jest jego codziennym gościem. Co mu tam! Matkę miał i miał będzie, ale bułka to wielka rzecz.

Znamy wszyscy smak bułki, ale niezbyt wiele go cenimy. Zjemy ją z większym lub mniejszym smakiem, obetrzemy usta i po wszystkiemu. Ale, aby ocenić należycie smak tej samej bułki, trzeba widzieć jedzącą ją biedotę. Głodne chłopię już nie je, ale pochłania rzadki smakołyk.

A matka? Matka z jakąś bolesną rozpaczą wpatruje się w swe maleństwo, pochłania je tak wzrokiem, jak ono swój przysmak. A może i jej ślinka idzie na rzadko kosztowany specjał? Może i ona przywlokła się zgłodniała, aby za oszczędzony grosz ostatni sprawić synowi królewską ucztę? O bo miłość macierzyńska nie ma granic! Matka dla dziecka wszystko zdolna jest poświęcić; nietylko grosz ostatni, ale zdrowie swoje i życie swoje. Nie masz nic potężniejszego nad miłość macierzyńską. Dla miłości tej społeczeństwo winno stawiać ołtarze i hymny uwielbienia śpiewać na cześć jej potęgi.

Przepiękny nasz obrazek, sporządzony z obrazu W. Makowskiego, oddaje lepiej ogrom tej miłości macierzyńskiej, aniżeli najpiękniejsze słowa. Bo cóż słowa? Słowa to pusty dźwięk, który obija się o uszy

i ginie w przestworzu. Aby poznać ten ogrom macierzyńskiej miłości, trzeba miłość tę widzieć, trza się zżyć z nią, trza ją odczuć tak silnie, jak ona silnie płonie w głębi serca macierzyńskiego. A na obrazku właśnie artysta wszystko to uwydatnił tak dokładnie, że lepiej tego odzwierciedlić słowami się nie da.



Jak Poniezus stworzył świat, to okrutecnie się mu przykrzyło, bo juz nie miał co więcej robić. Z samego rozmachu drzewa, kwiatki i trawki rosły, mnozyły się zwierzęta, a z ich śmiercią nie było kłopotu, bo wróbel zjadł muchę, wróbla pozarł kot, kota udusił pies, psa rozszarpał wilk, wilka uśmiercił lew albo tygrys, a ze stworzenia te nie miały dusy, więc tez nic z nich po śmierci nie zostało, a Poniezus nie miał kogo na tamtym świecie sądzić. I święty Piotr siedział zasumowany, bo mu kluce od bramy niebieskiej zardzewiały, gdyz nie miał jej la kogo otwierać. I pomimo, ze w niebie i na ziemi było przecudnie, nie było tam tej wesołości, jakaby być powinna.

A i chwalić nie miał kto Pana Boga, bo ani sum drzew, ani krakanie wrony, ani śpiew ptaków, jako głosy bezrozumne, nie są taką pochwałą i uwielbieniem Pana Boga, jakie Mu się od świata nalezały. Święty Piotr wybierał się nieraz na ryby, ale i kajze, bidacysko miał iść, kiedy w niebie pono niema ani stawów, ani rzyk.

Zasię i w piekle było nielepiej. Lucyfer wściekał się na wszyćkich djabłów, ze mu zadnej ochfiary do piekła nie przyprowadzają, a jakoze oni mu ją mieli przyprowadzić, kiedy anioł djabłu ocyganić się nie dał, a zwirzęcia zadnego ni moze.

Sprzykrzyło się juz Panu Jezusowi w niebie, zesed więc jednego razu na ziemię, aby się przyjrzyć światu i zrobić coś takiego, zeby wszyćkiem tak w niebie, jak i w piekle dać conieco do roboty. A kiedy se tak spacerował nad morzem, zerwał liliję o śniezystym kwiecie i cisnął ją do morza. Nie powiadał nic, bo nie miał komu, ale wiedział, co robi. Bo oto wkrótce z pian morskich wysła pirsa niewiasta, delikatna, jak lilija, lekka, jak wiatr, zdradliwa, jak morze i niestała, jak piana. Niewiasta spojrzała przedewszyćkiem w morze, a kiedy swe odbicie ujrzała w jego przeźrocach, przekonała się, ze jest piękna. Rozglądnęła się równiez po świecie i stwierdziła, ze i świat jest piękny.

Wysła na brzeg morza, a piękność jej sprawiła, ze niebo poczęło patrzyć na nią milijardami ciekawych oczu i tak powstały gwiazdy. Przewędrowawsy pola i lasy, w podziwie oglądała wspaniałe dzieło stworzenia. Naraz rozpłakała się i rzekła:

— Panie Jezusie, och jakaz ja niescęśliwa istota jestem. Stworzyłeś mnie piękniejsą ponad wszyćkie stworzenia, ale cóz mi z tego! Widzę, ze wszyćko Twe stworzenie mnie jedną podziwia, ale ja nie słysę głosu tego podziwu!

Poniezus przyznał jej rację, bo przecie wiedział, ze samo gapienie się na piękność kobiecą nie ma dla niej tej wartości, co usłysenie przez nią choćby jednego miłego słówka. Aby więc słysała ciągiem świergotanie o swej piękności, stworzył dla niej ptaki. A te od świtania do nocy, a nawet i w nocy wyśpiewywały hymny pochwalne na cześć urody kobiecej.

Ale wiadomo, ze baba zawse i ze wszyćkiego jest niezadowolona. Tak też i ta pirsą niewiasta powiada do Pana Jezusa:

— I cóz mi z tego, Panie Boże, ze ptaki śpiwają o mej urodzie, kiedy niema nikogo, ktoby ją tak podziwiał, izby pełzał u nóg moich.

Uśmiechnął się Poniezus, jako przecie wie dobrze, ze niewiasty nicem nie mozna zadowolić, ale zesłał jej olbrzymiego węza, który odtąd miał pełzać u jej nóg.

Lecz zadowolenie niewiasty było krótkotrwałe.

— Jeśli jestem piękną, powinno się mnie we wszyćkiem naśladować, co robię.

I usłuchał jej prośby Pan Bog i stworzył jej małpkę, która szła krok w krok za nią i naśladowała kazdy jej ruch.

Ale nie trwało to długo. Niewiasta zacęła lamentować:

— Któz mnie obroni biedną, słabą niewiastę przed krzywdami, jakie mnie spotykają? (Choć jej nic złego nie spotykało.)

Najcierpliwsy więc Poniezus zesłał kobiecie lwa, aby jej bronił.

I tak co ino owa niewiasta zapragnęła kolejno stawało się zadość jej zyceniom. Az wreście kobieta miała wszyćko, cego chciała i nic juz nowego wymyślić nie mogła. Więc wpadła w gniew, w gniew tak strasny, iż spłosone ptaki uciekły od niej, wąz schował się w rozpadlinę skalną, małpa zasyła się w listowiu na wierzchołku drzewa, a lew uciekł w głąb puszcy... Została sama!

— O ja niescęśliwa! — wołała — wszyscy mnie podziwiają i kochają, gdy jestem dobra, a gdy w gniew wpadnę, opuścili mnie wszyscy. Wszechmocny Panie, spełń ostatnie moje zycenie, stwórz istotę, któraby mnie podziwiała i kochała, któraby bała się mnie trochę, ale nie uciekała, gdy w gniew wpadnę.

Machnął Poniezus ręką, myślał długo, bardzo długo i stworzył... męzczyznę.

— No — rzekł — teraz będę miał wreście spokój!

Lec po namyśle za głowę się chwycił i powiada:

— Nie, to teraz dopiero zacnie się piekło!

I uśmiechnął się boleściwie Poniezus, bo wiedział, ze tak będzie, jako powiedział. I nie pomylił się ani odrobinę.

Sny moje.

Sny moje jasne, myśli moich cuda,
Jakże wam wdzięczny zawsze pozostanę,
Niosłyście w szarość dni wizje świetlane.
Gdy mi jedynym lekiem była złuda.
Gdy idąc naprzód ginąłem w ciemności
Choć tysiąc świateł mijałem po drodze

I gdy szukaniem utrudzony srodze,
W was znajdowałem blask nieskończoności.
Kiedy w daremnej walce tracąc siły
Żem się nie ugiął pod ciosami młota

To wyście jasne moje sny sprawiły.
Czemu więc dzisiaj zbladła znów pozłota.
Czemu na długą drogę do mogiły
Została tylko bezbrzeżna tęsknota?

Jul. Józef Gębczak.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Tunis II.

Klimat w Tunisie jest nadzwyczaj łagodny, łagodniejszy znacznie aniżeli we Włoszech. To też mieszkańcy tamtejsi nie potrzebują się troszczyć ani o ciepłe mieszkania, ani o opał na zimę. Takich rzeczy, jak piece do ogrzewania mieszkań zupełnie nie znają. Najzimniejsza temperatura jest tam taka, jak u nas w kwietniu lub październiku.

Wskutek łagodności temperatury niektóre szczepy tamtejsze prowadzą żywot koczowniczy, przenosząc się z jednej okolicy w inną tak, jak u nas cyganie. Kiedy zamierzają pozostać w danem miejscu przez czas dłuższy, rozbijają namiot taki, jaki widzimy na naszym pierwszym obrazku. Służy on im przeważnie za ochronę przed zbyt piekącemi promieniami słońca.

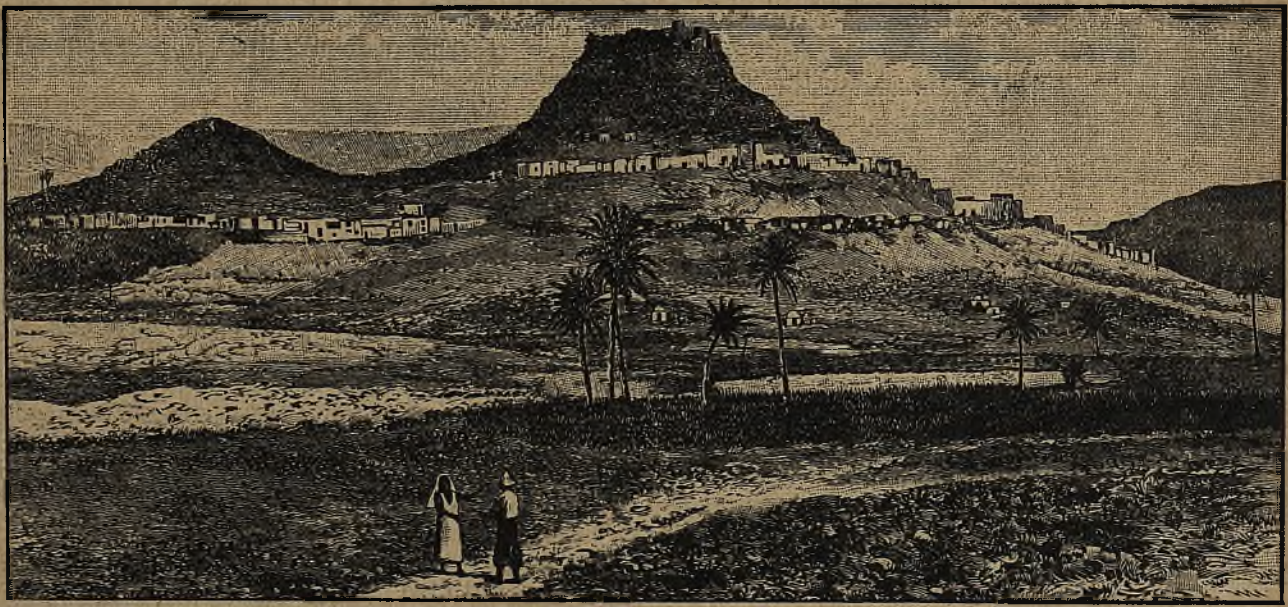
Pominąwszy miasta większe, szczególniej nadbrzeżne, zamieszkałe w większości przez Europejczyków, zwrócić należy uwagę na wioski tamtejsze. — Niektóre z nich są bardzo ciekawe. Oto jedną z nich widzimy na naszym drugim obrazku. Jest to wioska Duiret. Nazwa ta oznacza małe domki. W rzeczywistości chaty Duiretu, widziane z dołu, przypominają wybornie ażurowe desenie, wycinane przez Chińczyków z kości słoniowej. Biała góra i takież same domy zarysowują się łagodnie na lazurowem tle nieba.



Szałas koczowników tunetańskich.

Wieś ciągnie się na stoku wzgórza, równolegle z wązką ścieżką, na którą wdrapanie się daleko więcej przedstawia trudności, aniżeli wspinanie się na alpejskie lodowce. Niejednokrotnie trzeba wskakiwać aż na dachy bardzo nietrwałych mieszkań, lub się przedzierać między gruzami, które za najmniejszem dotknięciem staczają się na dół i mogą nader niebezpieczny wywołać upadek.

Mieszkania wioski Duiret piętrzą się ponad sobą



Wieś Duiret u podnóża góry.

amfiteatralnie jedne obok drugich aż do samego szczytu góry, na którym wznosi się czworoboczna wieża „kasba“. Aby się dostać do domu, położonego o „piętro“ wyżej, trzeba czynić to przy pomocy drabinki, lub też przebyć daleką, okrężną drogę dość uciążliwemi ścieżkami. To też mieszkańcy poszczególnych pięter rzadko się odwiedzają, a jeżeli idą kiedy w odwiedziny, to tylko do sąsiadów z tego samego „piętra“.

Stołów takich, jak my używamy, krajowcy tamtejsi nie znają. Jeżeli chcą przyjąć gości u siebie, to przytaczają do swej pieczary kilka ogromnych sześciobocznych głazów, ustawiają je obok siebie i zastawiają na nich jedzenie.

Nie mają też w swych mieszkaniach łóżek. — W głębi domu-groty niewielka wypukłość gruntu służy im za łoże, na którem kładą ogromne poduszki i skóry gazeli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

Nagle... mogła być pierwsza po północy... straszliwy łoskot zbudził Godfreya.

Zerwał się natychmiast, włożył spodnie, bluzę i buty nieprzemakalne, gdy w tejże chwili rozległ się na pokładzie okrzyk:

— Toniemy! Toniemy!

W okamgnieniu Godfrey wyskoczył z kajuty i już był na pokładzie. Tu natknął się o jakąś bezwładną masę, w której domyślił się profesora Tarteletta.

Cała załoga była na pokładzie, biegając tam i napowrót, a wśród zgiełku rozbrzmiewały rozkazy kapitana i oficera.

— Zderzenie? — spytał Godfrey.

— Nie wiem... nie wiem... — bąkał oficer. — Nic nie widać przy tej przeklętej mgle, ale statek tonie!

— Tonie? — spytał Godfrey.

Czuć było coraz wyraźniej, że „Marzenie“ uderzywszy widocznie o jakieś skały, coraz głębiej pogrążało się we wodzie, która wpływała już na pokład. Nie ulegało wątpliwości, że ogień pod maszyną dawno musiał być zalany.

— Panie Godfrey! — krzyknął kapitan. — Do morza! Szybko! Niema chwili do stracenia! Statek tonie!

— A Tartelett?

— Ja się nim zajmę! Nie więcej, jak kilkadziesiąt metrów dzieli nas od lądu.

— A pan?

— Moim obowiązkiem wytrwać do ostatniej chwili! Ale pan musi się ratować bezzwłocznie!

Godfrey wahał się jeszcze, gdy woda szeroką falą wpłynęła na pokład.

Kapitan Turcotte, wiedząc, że Godfrey pływa jak ryba, chwycił go za ramiona i wrzucił do morza.

Czas był najwyższy. Bo gdyby nie mrok nieprzenikniony, w miejscu, gdzie przed chwilą unosiło się na falach „Marzenie“, możnaby było zobaczyć ziejącą otchłań.

Godfrey odpłynął już jednak o kilka sążni i szybko oddalał się teraz od zawrotnego wiru, spowodowanego tonącym statkiem.

Wszystko to dokonało się w ciągu minuty. W parę chwil później, wśród okrzyków rozpaczy, dochodzących ze statku, zgasły też obydwa boczne światła: czerwone i zielone.

Nie ulegało wątpliwości: „Marzenie“ zatonęło.

Godfrey dotarł do wysokiej skały, zabezpieczonej przed zalewem bałwanów. W mroku krzyczał co sił, lecz nikt nie dawał odpowiedzi. Nie wiedział, czy znalazł się na samotnej skale, czy też na cyplu jakiegoś łańcucha raf. Może jedyny ocalały z katastrofy, biedny rozbitek oczekiwał nastania dnia.

ROZDZIAŁ VIII.

Jeszcze trzy godziny należało oczekiwać do wschodu słońca. O godzinach tych można rzec, że zdają się trwać wieki.

Jak na początek, próba to była bardzo ciężka. Ale Godfrey nie wyruszył przecież na wycieczkę. Wsiadając na okręt, mówił sobie w duchu, że oto pozostawia za sobą byt szczęśliwy i spokojny, jakiego nie może się spodziewać od zmiennych losów dalekiej podróży. Trzeba więc umieć stawiać czoło nieszczęściu.

Chwilowo był ocalony. Na tej skale woda go nie dosięgnie, bo tylko piana bałwanów bluzga o kamienne jej ściany. Czy fale uniosą go podczas przypływu? Nie, bo po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że statek rozbił się właśnie w chwili najwyższego przypływu.

Znalazłszy się w obliczu faktu dokonanego, Godfrey zrozumiał, że obecnie kwestją życia i śmierci było stwierdzić, czy skała, na której znalazł schronienie, należy do jakiegoś stałego lądu. Skoro tylko zacznie świtać, musi przedewszystkiem opuścić tę skałę, której szczyt był co najwyżej na 20 stóp długi i taksamo szeroki. Wytężył wzrok, by w nieprzeniknionych ciemnościach rozróżnić, czy jakaś skłębiona masa, jakaś grupa skał czy raf zwiastuje bliskość lądu stałego.

Nic jednak nie zobaczył. Do nosa jego nie dolatywała żadna woń lądu, żadne światełko nie ukazało się jego oczom, żaden dźwięk nie dotarł do uszu, — żaden ptak nie zatrzepotał w mroku. Zdawało się, że wokół niego zieje tylko bezkres Oceanu.

Godfrey wcale się nie łudził, że nie pozostaje mu chyba ani cień nadziei ocalenia. Teraz już nie chodzi o spokojne odbycie podróży naokoło świata, lecz o odważne zmierzenie się ze śmiercią. Tedy myśl jego ze spokojem i odwagą wzbiła się ku owej sile, mogącej zdziałać wszystko dla najnędzniejszego nawet stworzenia, gdy ono samo nic już dla swego ratunku uczynić nie zdoła.

Godfrey nie mógł narazie uczynić nic innego jak czekać nastania dnia, pogodzenia się z koniecznością, jeśli ratunek okaże się niemożliwym, i zrobienia wszystkiego, co będzie w jego mocy, o ile będzie miał jakieś szanse ratunku.

Przejęty powagą tych rozważań, Godfrey spokojnie usiadł na skale. Złożył część przemokłej odzieży a także ciężkie buty, by w razie potrzeby móc popłynąć dalej.

Przyszło mu na myśl, że jakkolwiek w tej nieprzebitej ciemności niepodobna cośkolwiek zobaczyć, to jednak może dać znać o sobie wołaniem. Nic mu nie przeszkadzało krzyczeć ze wszystkich sił w tę ciemność i ciszę. Może mu jednak odpowie któryś z pasażerów?

Zaczął tedy wołać, wyrzucając krzyki przeciągłe, które niewątpliwie dolatywały bardzo daleko.

Żadnej odpowiedzi.

Znów zaczął wołać, zwracając się to w tę, to w inną stronę.

Milczenie.

— Więc sam, sam jeden! — szepnął do siebie.

Nietylko, że żaden głos nie odpowiedział na jego wołanie, ale nawet żadne echo nie powtórzyło jego głosu.

Trzy godziny minęły na trwożnem wyczekiwaniu. Nawpół skostniały, Godfrey chodził tam i napowrót po wierzchu wąskiej skały, w ten sposób próbując się nieco rozgrzać. Nareszcie obłoki w górze zabarwiły się białawo — był to odblask pierwszej purpury brzasku na nieboskłonie. Godfrey stopniowo zaczął rozróżniać poszczególne skały, tworzące całą ścianę. Odcinały się one od morza niby gromada morskich potworów. Była to długa, nieregularna masa ciemnych kamieni, dziwacznie wyzębionych, rozmaitych kształtów i wielkości. Ściana ta biegła od zachodu na wschód. Olbrzymi blok, na którym znajdował się Godfrey, wyłaniał się na skraju zachodniego brzegu szklanej ławicy, w oddaleniu conajmniej 30 sążni od miejsca katastrofy „Marzenia". W miejscu tem morze musiało być bardzo głębokie, gdyż z zatopionego statku nie było widać nawet wierzchołka masztu.

Narazie nic nie wskazywało na bliskość wybrzeża. Także po drugiej stronie skalnego grzbietu.

Mgły się teraz rozwiały, a pole widzenia Godfreya, uporczywie wpatrującego się w tajemnicze otoczenie, znacznie się powiększyło. Przestrzeń, jaką teraz ogarniał, mogła już obejmować jakie pół mili. Tu i ówdzie wyłaniały się piaszczyste płaszczyzny, rozściełone między skałami, przystrojonemi w morszczyznę. Czyż piasek ten nie zapowiadał bliskości wybrzeża, a jeśli jest wybrzeże, to nie jest też wykluczone, że należy ono do jakiegoś lądu!

Nareszcie ukazały się na skraju nieboskłonu od strony wschodniej gromadki płaskich wydm, zasianych potężnymi blokami skał.

Słońce wessało mgły poranne, a tarcza jego błyszczała w tej chwili w pełnym blasku.

— Ląd! Ląd! — wykrzyknął Godfrey.

I wyciągnął ręce w tym kierunku, padł na kolana, przejęty gorącą wdzięcznością dla swego Stwórcy.

W istocie był to ląd. Skały tworzyły tu tylko najdalszy jego kraniec, ciągnący się na przestrzeni jakich dwóch mil. W głębi tej niejako zatoki ukazało się płaskie wybrzeże, okolone małemi wydmami. Tu i ówdzie ciągnęły się zielone smugi nisko rosnącej trawy.

Z wyniosłego punktu, zajmowanego w tej chwili przez Godfreya, łatwo było objąć cały obszar wybrzeża. Od północy do południa odgraniczone dwoma nierównemi grzbietami pogórza, mogło obejmować 5—6 mil. Mogło też być częścią jakiegoś stałego lądu. Tak czy owak, chwilowo przynajmniej nie grozi mu niebezpieczeństwo. Teraz mógł już sobie powiedzieć z całą pewnością, że nie został wyrzucony na jakąś odosobnioną skałę i wolno mu było krzepić się nadzieją, że w dalszej części tej nieznanej ziemi znajdzie zaspokojenie pierwszych potrzeb życiowych.

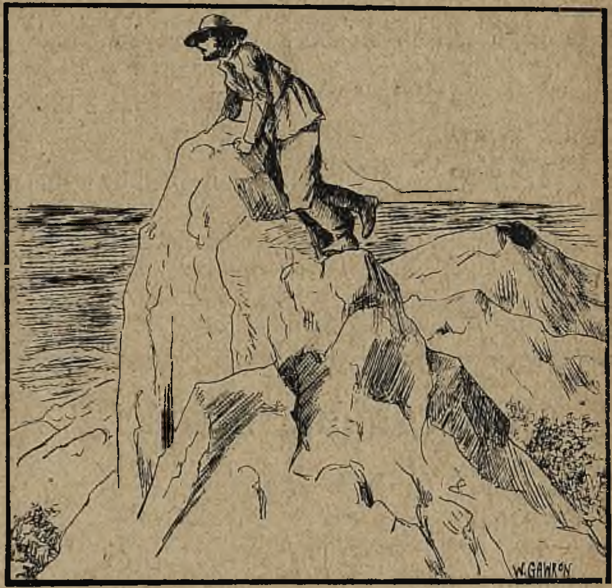
— Na ląd! Na ląd! — rzekł do siebie.

Przed opuszczeniem skały raz jeszcze rozejrzał się, obejmując spojrzeniem morze aż do krańców dalekiego nieboskłonu. Czy nie dostrzeże na fali jakich szczątków „Marzenia", czy też którego z rozbitków, uniesionego przez prąd?

Nic. Widocznie i szalupę pochłonąć musiała morska głębina. Teraz przyszło mu na myśl, czy któryś z współpasażerów nie znalazł podobnie jak on schronienia na tych rafach i podobnie jak on czekał dnia, by dostać się na wybrzeże. Nikt! Na skale, podobnie jak na morzu, ani żywego ducha.

Jeżeli jednak nikt nie pozostał przy życiu, to może jakieś trupy przypłyną do stóp skały. Może tam znajdzie śmiertelne szczątki któregoś ze swych towarzyszy?

Nie! Na rafach, teraz zupełnie odsłoniętych po odpływie morza, nie znalazł nikogo!



Z wyniosłego punktu łatwo było objąć cały obszar.

Był sam, całkiem sam! W walce z niebezpieczeństwami, jakie go niechybnie tu czekają, może polegać jedynie na sobie!

Na jego pochwałę trzeba przyznać, że nie upadł na duchu. Pragnąc jednak przedewszystkiem stwierdzić, na jakim znajduje się lądzie, od którego dzieliła go tylko nieznaczna przestrzeń, opuścił wierzchołek skały i skierował się ku wybrzeżu. Gdy jednak jedna skała od drugiej oddzielona była zbyt szerokim pasem wody, którego nie mógł przeskoczyć, to go przepływał, i tak nawpół pieszo, nawpół płynąc, zdążał ku wybrzeżu. Śliskie kamienie, porosłe klejastą morszczyzną, utrudniały ów pochód. A ciężka ta droga obejmowała ćwierć mili.

Dzięki swej zręczności, Godfrey stanął wreszcie na lądzie, gdzie wprawdzie nie oczekiwała go śmierć natychmiastowa, ale życie tak ciężkie, że śmierć byłaby właściwie wybawieniem. Głód, pragnienie, zimno, niebezpieczeństwa wszelakiego rodzaju, przytem brak wszelkiej broni, którą mógłby polować na zwierzęta, bez bielizny i sukien — oto rozpaczliwy stan, w jakim się znalazł.

Tęsknem spojrzeniem przebiegł północną i południową stronę brzegu, lecz nie odkrył żadnej żywej istoty. Widocznie ta część lądu jest zupełnie niezamieszkała. Nigdzie chaty, nigdzie dymu, wzbijającego się ponad ludzkiemi siedzibami.

— Naprzód! Naprzód! — przynaglał się Godfrey.

Szedł tedy przed siebie, północną stroną wybrzeża, zanim dostał się na piaszczyste wydmy, skąd roztwierał się szerszy widnokrąg. Panowało tu zupełne milczenie. Na piasku żadnego śladu stóp ludzkich, czy zwierzęcych. Trochę ptactwa morskiego, mew i nużyków, przelatywało ze skały na skałę — jedyne żyjące istoty w tej samotni. Godfrey przez jaki

kwadrans biegał wśród tej pustki, całkiem niestety bezowocnie. W chwili, gdy przedzierając się przez zarośla i sitowie, zarastające owe wydmy, miał osiągnąć najwyższy ich punkt, nagle przystanął.

Jakiś duży, bezkształtny przedmiot, jakaś wzdęta masa, mogąca być szczątkami martwego morskiego potwora, wyrzuconego tu zapewne przez ostatnią burzę morską, widniała w odległości jakich 50 kroków od skał. Podszedłszy bliżej, Godfrey stanął jak przygwożdżony i wykrzyknął:

— Tartellet!

Był to istotnie profesor tańca i dobrych manier.

Godfrey jednym susem stanął przy swym towarzyszu. Może jednak tli w nim iskierka życia.

Teraz zrozumiał, że to pas ratowniczy, wzdęty jak bęben, nadawał nieszczęsnemu mistrzowi wygląd morskiego potwora. Tartelett leżał nieruchomy, ale mógł przecież żyć. Widocznie ten pas utrzymał go na powierzchni wody, a fale wyrzuciły go na wybrzeże.

Godfrey zabrał się do cucenia. Ukląkł obok Tarteletta, rozwiązał krawat, zaciskający się koło szyji nieprzytomnego, z całej siły począł go nacierać, aż wreszcie uczuł pierwsze oznaki życia w postaci słabego oddechu, wydobywającego się z nawpół rozwartych ust nieszczęśliwca. Przyłożył mu rękę do serca. Serce biło jeszcze. Wymówił jego imię, a Tartelett na ten dźwięk poruszył głową. Po chwili z ust jego wydobyło się ciche westchnienie i kilka słów bezładnych. Godfrey wstrząsnął nim silnie, a wtedy Tartelett otworzył oczy, lewą ręką przesunął po czole, prawą podniósł i przekonał się, że nie zginęły mu skrzypki i smyczek, które obejmował kurczowo.

— Tartelett! Mój drogi Tartelett! — zawołał Godfrey uradowany, podnosząc głowę leżącego.

Głowa ta, z resztkami zwichrzonych włosów, skinęła potakująco.

— To ja, Godfrey, czy mnie nie poznajesz?

— Godfrey? — powtórzył profesor.

Odwrócił się na drugi bok, przyklęknął, rozglądnął się i z rozpromienioną twarzą powstał. Uczuł grunt stały pod nogami — nareszcie! Zrozumiał, że nie jest już na chybotliwym, chwiejnym pokładzie, narażony na wszystkie nieprzyjemności i niebezpieczeństwa morskiej jazdy. Nie jest już na morzu. Stopy jego stanęły na stałym lądzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pożegnanie miłości.

Płaczmy wszyscy bez wyjątku!...
Nie?
Ha to nie!...

— — — — — — — — — — — — — — —

Ja jednak widząc, że odchodzisz już ze świata, chcę moimi słówkami pożegnać...

Więc żegnaj nam! Przez łzy, czy w uśmiechu rozradowania — żegnaj! Dobrze robisz, że odchodzisz! Powinnaś odejść, bo inaczej ludzie cię sami wyrzucą za okno ze swoich domów, jak świstek papieru, jak zużytą zapałkę lub „ciko" od wypalonego papierosa!...

— Ha! ha! ha!...

Nie! Po niedopalony papieros, leżący na drodze zegnie się dziad-włóczęga, podźwignie i schowa do kieszeni, ale po ciebie już nikt dzisiaj nie sięga... i sięgać nie zamierza... Pewnie, powinnaś odejść! Poco swędać się niepotrzebnie między ludźmi i hańbić się przez dobrze zawieszone ludzkie języki! Poco? Odkąd zaczęto tobą handlować na większą skalę, odkąd zmieszano cię z najgorszą sortą błota i ożeniono z pieniądzmi, przestałaś być tajemnicą nieznaną i czczoną przez wszystkich ludzi!

Zdaje się, że masz już swoją „giełdę". Z trwogą szukam po dziennikach twojej rubryki... I myliłby się wielce ten, ktoby sądził, że niema, na szczęście czegoś podobnego. Twą giełdę można znaleźć w drobnych ogłoszeniach, pod rubryką „Matrymonjalnej"!

Jakże wysokie liczby! a zarazem jak niskie, jeśli idzie o prawdziwą miłość, której nigdzie nie dostanie w żadnym sklepie i na żadnym targu!... Piętnaście tysięcy, czy piętnaście miljonów złotych! To wszystko nic! To wszystko głupstwo. Czemże są cyfry dla miłości? Ot, głupie nic i tyle!...

Nie dziwię Ci się więc, najświętsza z cnót, o Miłości, że obrażona przez ludzi uciekasz! Bądź zdrowa! Żegnaj! Przez łzy, czy w uśmiechu! Rzucam ci do stóp całe piękno świata, zabierz go ze sobą, bo i tak nic po nim bez ciebie! Wieńce z purpurowych róż, złotych maji i pachnącego bzu ci rzucam, całą pachnącą wiosnę życia i jej słońce! Marzę ostatni raz o tonach twej cudownej muzyki i ze smutkiem, bo bez ciebie przerzucam się w kraj jesiennych zwątpień. Żegnaj nam, żegnaj ostatni raz! Śpij spokojnie pod białym całunem zimy, śpij w ciszy ciemnego swego grobu, smutna, zadumana pani! Niech ci nie będzie straszną otchłań grobu, niech nie będzie ciężką ziemia, niech szumią twoją pieśnią gałązki płaczących brzóz nad twym grobem wiecznie! Przebacz nam wszystkim, o Pani i idź spokojnie od nas, bo nam nic po tobie! Żegnaj nam przyjaciółko młodych, gorących lat! Dzięki Ci za cudne walce „Upojenia i Rozmarzenia", któreś nam dawniej grywała!... Żegnaj!...

Jacek Orlik.

Poradnik lekarski.

Jak racjonalnie odżywiać się zimą? Organizm człowieka przypomina poniekąd naturalny piec, którego opalanie jest konieczne dla podtrzymania w nim procesu życia, nie będącego niczem innem, jak tylko stałem wytwarzaniem w ludzkiem organiźmie ciepła, z tą wszelako różnicą, że ten naturalny piec opalać trzeba i latem i zimą.

Na tem polega różnica, natomiast zarówno sztuczny jak i naturalny piec tem więcej wymaga opału, im zimniejsze jest powietrze otaczające. Podczas zimnej pory roku większa część pokarmów idzie na ogrzewanie organizmu. W gorącej porze roku, a także w krajach o klimacie gorącym, organizm ludzki wymaga mniej pokarmu.

Pokarm musi być przystosowany do rodzaju budowy tego naturalnego pieca, jakim jest organizm. Zwątlone ciało ludzi starszych, czy wyniszczonych chorobą musi być zasilane składnikami innemi, aniżeli ciało ludzi młodych, zdrowych i pracujących fizycznie.

Podczas zimy organizm nasz musi więcej wyprodukować wewnętrznego cieplika. Obok spożywania większych niż w lecie ilości mięsa i tłuszczów, które pod względem swojej wartości opałowej tak się mają do pokarmów mącznych, jak węgiel do torfu, musimy nadto pamiętać o konieczności wprowadzania do organizmu potraw dobrze ogrzanych, a nadewszystko

większej ilości ciepłych napojów. Spożywając jakikolwiek pokarm na zimno, tracimy część zawartego w nim cieplika, a to dlatego, iż organizm nasz musi go ogrzać i podnieść jego temperaturę. Jeżeli naprzykład wypijemy szklankę kawy, herbaty czy czekolady, której temperatura wynosi 50 stopni C., wprowadzamy do organizmu naszego dodatkowy zapas cieplika, co odrazu odczuwamy w postaci mile rozlewającego się po całem ciele ciepła. Normalna temperatura naszego własnego ciała wynosi do 37.5 stopni C., otóż wszelkie napoje, o temperaturze przewyższającej naszą własną o 10 do 15 stopni, przyczyniają się do szybkiego rozgrzania ciała naszego, jak również do pobudzenia energji przed większym wysiłkiem czy też po nim. Sute ocukrzenie herbaty, kawy czy czekolady odpowiednio ciepłej jest konieczne, o ile napoje te mają spełnić należycie swoją rolę, — gdyż cukier jest właśnie czynnikiem w znacznym stopniu podtrzymującym energję i sprawność mięśni naszych, co wielokrotnie zostało sprawdzone przez sportowców czy żołnierzy, zmuszonych do forsownych marszów i ćwiczeń. Dlatego właśnie mocno osłodzona, w miarę ciepła (niezbyt gorąca, bo to szkodzi zębom i żołądkowi) herbata, kawa, czekolada czy nawet lemonjada, są najlepszemi, prawdziwie racjonalnemi, a w dodatku najtańszemi środkami pobudzenia ciepła i energji ciała.

Poradnik gospodarczy.

O przesadzaniu drzew owocowych.

Przesadzanie jest jedną z najważniejszych czynności w sprawie drzew owocowych. Od wykonania jej zależy w zupełności przyszłość drzewa. Sadzący zadawialniają się zwykle tem, że wykopują mały dołek, jakby tu chodziło o zasadzenie krzaka bez wartości. Mała szerokość takiego dołka nie wystarcza często, aby korzenie dogodnie rozłożyć można, sadzący woli przyciąć za długie i przeszkadzające mu korzenie lub wcisnąć pozostałe przemocą, aniżeli rozszerzać dołek. Czyni on tak raczej z nieświadomości, aniżeli z lenistwa, poprostu nie zastanawiając się nad tem, że odbiera drzewu prawie sposób do życia. Narzuci później na korzenie kilka łopat pierwszej lepszej ziemi, bez względu czy ona jest dobra, czy nie, obdepcze mocno nogami i myśli, że drzewko dobrze zasadził. Mijają później lata, a drzewo pozostaje chuderlawe, wreszcie ginie bez okazania znaku życia.

Jak przeto postępować trzeba przy przesadzaniu drzew owocowych, określę bliżej. Bezpośrednio, lub wcześniej na jeden lub kilka tygodni przed sadzeniem wybrać trzeba doły tak obszerne i głębokie, aby korzenie wygodnie i w możliwie poziomym kierunku ułożyć można. W doły te, wykopane na 60 cm. w głąb a 1½ do 2 m. wszerz, wbija się najprzód w sam środek przygotowane już paliki, które świeżo posadzonym drzewom służyć mają w pierwszych latach za podporę, a nawet osłonę od przemarznięcia, o czem będzie niżej. Wbijanie palików po posadzeniu drzewek jest złem nawyknieniem, którego unikać należy. Ażeby pod wpływem deszczu i śniegu ziemia wrzucona do dołów nie przyczyniała się do obniżenia posadzonych drzewek, powinny one być tak ustawione, aby po posadzeniu wystawały o tyle wyżej nad powierzchnią gruntu, o ile doły są głębsze. Uleganie się ziemi, tak, że drzewka po posadzeniu w ziemiach lekkich i jeżeli doły były na 6 cm. głębokie, tylko mniej więcej o 5 cm. a w ziemiach ciężkich o 7 cm. wyżej nad poziom normalny ustawione być powinny. Uwzględnienie tej wysokości jest bardzo ważne, inaczej dostałoby się drzewko za głęboko w ziemię, co później bardzo szkodliwie oddziaływa na nie. Lepiej jest sadzić nieco wyżej, niż za głęboko; w pierwszym wypadku dosypanie późniejsze ziemi już wystarcza, podczas gdy w drugim wypadku należałoby obniżyć poziom gruntu, co wprawdzie dałoby się wykonać, lecz tego nie doradzam nikomu, gdyż takie obniżanie terenu jest to samo, co zamienienie gruntu w nieużytek. Wysokość odpowiednią osiągnie się tutaj, jeżeli się położy na poprzek dołu łatę, tuż przy drzewku; dolny brzeg łaty wskazuje wysokość poziomu, a więc w ten sposób da się łatwo wymiarkować, czy drzewko należy podnieść wyżej, czy też spuścić głębiej. Powierzchnia spodnia dołu, na której się drzewko ustawia, nie powinna być ani pozioma, ani też wklęsła, lecz wypukła; ułatwia to należyte rozłożenie korzeni i dozwala ustawić je w pożądanem ukośnem miejscu.

Jeżeli dół wykopany jest dostatecznie tak co do głębokości jak i na szerokość, przystępuje się do sadzenia, co uskutecznia się w sposób następujący:

Po usunięciu wszystkich zanadto uszkodzonych części korzeni, po odświeżeniu wszyskich kończyn korzeniowych, t. j. po miernem ich przycięciu ustawia się drzewko w dole; korzenie, o ile się tylko da, rozkłada się krążkowato. Zupełnie poziomo nie należy przyginać korzeni, owszem powinny one być skierowane ku dołowi nieco ukośnie. O ile tylko można, trzeba drzewko ustawić od strony północnej wbitego palika; ustawione bowiem w ten sposób pnie drzewek chronione są palikami od strony południowej. Paliki te pochłaniając promienie słoneczne, zabezpieczają pnie drzewek w pewnym stopniu od wilgoci i szybkiego rozgrzewania się. Zacienienie zapomocą palików wystarcza już, aby korę pni uchronić od zgorzeliny i przemrożeń, następnie, według tego, czy drzewo jest ziarnkowem, czy też pestkowem, chroni je także od raka lub gumowania.

Do przesadzania drzew potrzeba dwóch, a jeżeli doły są głębokie, nawet trzech robotników, gdyż tylko wtenczas będzie robota dobrze i szybko wykonaną. Robotnik, zajmujący się bezpośrednio sadzeniem, staje obok dołu lub w dole, rozkłada korzenie, nadaje im odpowiedni kierunek, drugi zaś lub inni dwaj dostarczają mu ziemi, która, o ile jej potrzeba do obsypania korzeni, powinna być pulchna i pożywna. Należy więc użyć w tym celu tylko ziemi jak najlepszej. Jeżeli jest kompost, natenczas miesza się go pół na pół z ziemią zapasową i mieszaniną tą obsypuje się korzenie, dopokąd wszystkie nie będą przykryte. Podczas tego obsypywania korzeni powinien ten, który sadzi, starać się o to, aby ziemia dostała się pomiędzy korzenie, aby nie pozostawały miejsca próżne tak między korzeniami jak i pod nimi. Upychanie ziemi uskuteczniają niektórzy zapomocą kawałka drzewa, wskutek czego korzenie łatwo pokaleczyć można, powinno się więc tego unikać. Strzec się też należy potrząsania drzewkiem po przysypaniu korzeni ziemią. Takiem podnoszeniem i potrząsaniem drzewka na boki ściąga się rozłożone korzenie, kaleczy się je lub skupia. Szkodliwe dopiero co opisane następstwa, wywołane podnoszeniem i potrząsaniem drzewek na prawo i lewo po zasypaniu korzeni ziemią, powstają szczególniej u drzew, mających gibkie i cienkie korzenie. Unikać tego tembardziej należy, iż upychając ziemię ręką, czynność ta da się uskutecznić daleko lepiej i dokładniej.

KRONIKA.

List pasterski ks. biskupa chełmińskiego. Prześliczny list pasterski na post ogłosił ks. biskup chełmiński Stanisław Wojciech. Wzywa on w nim wiernych, aby ci, pomni na dobro Ojczyzny, zaprzestali wzajemnych waśni politycznych, a pomyśleli o pracy dla dobra całego społeczeństwa. „Niechże Bóg złączy i zjednoczy serca rozdwojone, serca jednej matki Ojczyzny. Niech pod Bożym promieniem odtają zacne uczucia, niech odpadną wszelkie urazy i dłonie wyciągną ku wzajemnemu przebaczeniu. Tam, gdzie nienawiść rozdwaja społeczeństwo, osłabia się jego wartość". Oto słowa Arcypasterza, pełne niezachwianej prawdy i troski o dobro narodu polskiego. I rzeczywiście w czasach ostatnich nagromadziło się tyle fermentów wśród naszego społeczeństwa, że trzeba wielkich wysiłków, a przedewszystkiem dużo dobrej woli, aby fermenty te usunąć. Społeczeństwo nasze podzieliło się na dwa wrogie sobie obozy. Jeden z nich widzi zbawienie Polski w oddaniu się wyłącznem bohaterowi narodu polskiego Marszałkowi Piłsudskiemu, w nim pokłada zupełną nadzieję, że tylko on potrafi przeprowadzić Ojczyznę naszą przez wzburzone fale kryzysu europejskiego; drugi natomiast występuje przeciw niemu, jako temu, który ujął niemal całą władzę w swoje ręce i nikogo do niej dopuścić nie chce. Nie chcemy tu poruszać kwestji, który z tych obozów ma słuszność, ale chcemy na jedno zwrócić uwagę. Oto walka pomiędzy tymi dwoma obozami przybiera tak ostrą formę, że dalsze jej trwanie może doprowadzić kraj do niechybnej katastrofy. Wśród społeczeństwa naszego nastąpiło niemal ogólne zacietrzewienie, dawni przyjaciele stają się sobie wrogami, najczęściej nie rozumiejąc i nie znając całokształtu życia politycznego. A ci, co je znają, najczęściej z powodów osobistych, nie chcą ani na krok ustąpić swym przeciwnikom. A tak być nie powinno! Możemy być różnych przekonań politycznych, możemy mieć zupełnie odmienne zdania, ale zawsze i wszędzie powinniśmy mieć na oku przedewszystkiem dobro Ojczyzny. I jeżeli widzimy, że nasz przeciwnik polityczny działa na korzyść Ojczyzny, to nietylko nie powinniśmy mu w tem przeszkadzać, ale owszem poprzeć jego działalność. A jakże daleko od tego jesteśmy! Bo jak powiada w swem liście Czcigodny Arcypasterz, „Nauka kościoła św. nie pozwala odzierać z dobrego imienia człowieka nawet wtedy, gdyby rzeczywiście imię to swoje zaszargał, chyba, jeśliby chodziło o naprawę jego albo o zbawienie innych przed niebezpieczeństwem, grożącem z jego strony". A wiadomo, że kalumnjami i oszczerstwami nikogo z złej drogi się nie sprowadzi. Walczmy ze sobą, jeżeli już ta walka jest nieunikniona, ale walczmy sercem i rozumem, a nie plotką i oszczerstwem. Niech miłość wzajemna kieruje zawsze i wszędzie naszemi krokami.

Zniżka ubezpieczeń od ognia. Z Warszawy donoszą, że odbyła się konferencja Rady Zakładu Powszechnego Ubezpieczeń w sprawie przeprowadzenia szacunku budynków, ubezpieczonych przymusowo od ognia. Postanowiono obniżyć i stawki ubezpieczeniowe. Wyłączono w tej decyzji budynki w większych miastach. O wprowadzeniu w życie tego postanowienia będzie wydane specjalne obwieszczenie.

Życiorys w 106 słowach. Komitet obchodu 10-lecia zwycięskiego odparcia najazdu bolszewickiego organizuje wielkie manifestacje w składaniu życzeń imieninowych Marsz. Piłsudskiemu w dniu 19 marca b. r. Komitet kazał wytłoczyć 5 miljonów kart pocztowych, które przedstawiają plakietę z wizerunkiem Marszałka Piłsudskiego. Pod plakietą umieszczono życiorys Marszałka napisany przez Wacława Sieroszewskiego w 106 słowach. Z powyższych 5 miljonów pocztówek 1 miljon został wysłany do Ameryki do dyspozycji tamtejszych Polaków. Pocztówki z życzeniami będą wysłane na Maderę. 4 miljony pocztówek przeznaczonych dla kraju zostanie rozdanych do dyspozycji szkół i organizacyj, które zajmą się dopilnowaniem terminu wysłania tych imieninowych pocztówek.

Strącenie wójta z mostu. Dnia 17 b. m. wieczorem pewien opryszek strącił z mostu na rzece Mszance w Mszanie Dolnej wójta gminy Podobina, który, padając na szutrowisko, poniósł śmierć na miejscu.

Krwawy dramat rodzinny. W ubiegłym tygodniu o 12 w nocy w mieszkaniu rodziny Szapirów przy ul. Kraszewskiego 1 na Zniesieniu we Lwowie rozegrał się krwawy dramat rodzinny. Najstarszy syn Szapirowej 32 letni Mojżesz wystrzałsm z browninga w skroń zabił śpiącego brata 20 letniego Samuela. Następnie trzema strzałami w szyję, policzek i rękę ciężko zranił drugiego brata 22-letniego Abrahama, poczem wymierzył broń przeciwko siostrze swej Klarze, która przybiegła na odgłos strzałów. W wyniku walki pomiędzy siostrą i bratem przy pomocy domowników udało się rozbroić i obezwładnić zbrodniarza. Morderstwo dokonane zostało na tle niesnasek rodzinnych. Ciężko rannego Samuela Szapirę odwieziono do szpitala, Mojżesza Szapirę zaś po przesłuchaniu osadzono w więzieniu śledczem.

Schwytanie oszusta. W okolicy Stanisławowa aresztowano poszukiwanego przez policję od dłuższego czasu Michała Kleina z Krakowa, urzędnika prywatnego, który ukrywał się pod nazwiskiem Kaufmana i dopuścił się szeregu oszukańczych malwersacyj. Na podstawie fałszywych dokumentów i faktur na transport jaj podjął on w Katowicach 70 tysięcy złotych, a w październiku ub. roku dopuścił się oszustwa na szkodę Komunalnej Kasy Oszczędności w Rzeszowie, która poniosła skutkiem tego szkodę na 49.000 zł. Klein miał spólników, których poszukuje policja.

Włamanie do kościoła. Jacyś nieznani sprawcy dopuścili się zuchwałego świętokradztwa w kościele rzymsko-kat. w Tustanowicach. Po otwarciu drzwi zakrystji wytrychem dostali się do wnętrza i skradli cztery srebrne kielichy pozłacane, jedną srebrną patynę również pozłacaną i kilka innych przyrządów liturgicznych, ogólnej wartości blisko 2.000 zł. Zawiadomiona o zuchwałem świętokradztwie policja wszczęła energiczne dochodzenia.

Potworna zbrodnia. Jedna z wiosek w okolicy Krotoszyna była widownią strasznej zbrodni, przypominającej swą potwornością fantazje z bajek o złych czarownicach. Pewien wieśniak w czasie powrotu z synkiem z jarmarku, gdzie sprzedał za 300 złotych krowę, został w lesie napadnięty i zastrzelony. Chłopak, który miał przy sobie pieniądze, zdołał uciec i schronił się u mieszkającej w pobliżu ciotki, której opowiedział o strasznym wypadku i prosił o zawiadomienie policji. Ciotka przyjęła opowiadanie chłopaka dość obojętnie i oświadczyła, że dopiero nazajutrz zawiadomi policję. Chłopaka ułożyła do snu wraz ze swemi dziećmi, pieniądze zaś odebrała mu i schowała. Wkrótce potem wrócił do domu wuj, który opowiedział żonie o tem, że w lesie zastrzelił szwagra, ale nie znalazł przy nim pieniędzy. Wówczas dowiedział się, że chłopak z pieniądzmi śpi właśnie u nich w domu. Oboje uradzili dla zatarcia śladów spalić chłopaka w piecu piekarskim. W tym celu rozpalili ogień i poczynili przygotowania do drugiej strasznej zbrodni. Chłopak jednak, który, niesłychanie zdenerwowany zamordowaniem ojca, nie mógł zasnąć, słyszał całą rozmowę. Wobec tego przesunął się

na barłogu i podsunął na swoje miejsce syna wujostwa. Kiedy ogień był już rozpalony, zbrodnicza para porwała i zatkała usta swemu własnemu dziecku, owinęła je w derę i wrzuciła do ognia. Tymczasem syn zamordowanego skorzystał z zamieszania i zdołał się wymknąć. Na drodze natknął się na policjanta, któremu z płaczem opowiedział całe straszne zdarzenie. Wobec oczywistych dowodów winy zbrodnicza para przyznała się do morderstwa.

Katastrofa samochodowa pod Poznaniem. Na szosie pod Tarnowem Podgórnem w Poznańskiem wydarzyła się wielka katastrofa samochodowa, w której trzy samochody ciężarowe zostały kompletnie rozbite, z ludzi na szczęście nikt nie odniósł żadnych obrażeń. Katastrofa miała miejsce w następujących okolicznościach. Około godziny 6 wieczór od strony Poznania jechał mleczarski samochód ciężarowy, oraz drugi przyczepiony doń, obydwa własność p. Józefa Gandka z Rumianka. W pewnej chwili z przeciwnej strony ukazał się inny samochód ciężarowy, prowadzony przez szofera Michała Krukiewicza. W momencie mijania się wskutek oślepiającego światła reflektorów i śliskiej drogi samochody zderzyły się, ulegając kompletnemu rozbiciu. Dwaj szoferzy i robotnik, siedzący na przyczepionym samochodzie zdołali się uratować, wyskakując w krytycznym momencie z samochodów. Z rozbitych samochodów utworzył się na szosie niebywały zator. Kto ponosi winę spowodowania katastrofy, wykaże śledztwo.

Dwa trupy na weselu. Z Poznania donoszą: W wielkiej oberży u Jana Dolaty w Dębicy (pow. odolanowski) odbywała się huczna zabawa weselna z okazji ślubu Antoniego Sztukowskiego z Katarzyną Grzesiakówną. Było wesoło i gwarno, bowiem gościnni gospodarze nie skąpili trunków i jadła. W pewnej chwili powstało zamieszanie przy drzwiach i wtargnęła cała banda nieproszonych gości. Przeciw temu ostro zastrzegli się goście weselni, jednak przybysze nic sobie z tego nie robili, awanturując się w bezczelny sposób. Do poważniejszego nieporozumienia i zatargu doszło w sprawie kolejności tańca. Właściciel oberży p. Dolata wezwał intruzów, by jako nie należący do orszaku weselnego, opuścili salę. Kilku spokojniejszych wyszło, natomiast najbardziej zadzierzyści, a mianowicie Piotr Witek, Karol Nowak, Piotr Maksymenko i Franciszek Nawrocki pozostali. Powstała bójka, w toku której rozwścieczony Witek strzelił trzy razy z rewolweru, kładąc trupem na miejscu Ignacego Walotkę z Przygodziczek i raniąc ciężko w pierś Henryka Lugego również z Przygodziczek, który zmarł w 15 minut po tragicznym wypadku. Krwawe to zajście wywołało powszechne zamieszanie. Zabawę natychmiast przerwano. Nowaka, Maksymenkę i Nawrockiego aresztowano. Faktyczny sprawca zbrodni, Witek, zbiegł i ukrył się. Straszliwe zajście powstało, zdaje się, w dużej mierze wskutek nadużycia alkoholu przez awanturniczych intruzów. W całej okolicy panuje zrozumiałe poruszenie i oburzenie.

Straszna śmierć. We wsi Piastki w Wielkopolsce w chwili, gdy zamożny gospodarz Jankowski wszedł do stajni, niosąc wiązkę siana i przekroczył ogrodzenie, w którem znajdował się buhaj, zwierzę spłoszyło się i rzuciło na człowieka, bodąc go i tratując. Następnie buhaj wybiegł na podwórze, gdzie ujęli go sąsiedzi. W stajni znaleziono już tylko straszliwie zmasakrowane zwłoki Jankowskiego.

Rzeźnik żywcem ugotowany. W zakładzie masarskim Aleksandra Hainera przy ulicy Koszykowej w Warszawie zdarzył się w ubiegłym tygodniu straszny wypadek. Czeladnik rzeźniczy Stanisław Zajkowski, chcąc uruchomić wentylator elektryczny w oknie, stanął na parapecie i prętem żelaznym sięgnął do wentylatora. Rażony prądem rzeźnik runął wtył i wpadł do kotła napełnionego warem. Wydobyto go ciężko poparzonego. Zajkowski w drodze do szpitala zmarł w strasznych męczarniach.

Miłość i nienawiść. 65 letni starzec Franciszek Thörry zabił w Budapeszcie swą 62 letnią żonę. Zabił, bo „znienawidził ją z całej duszy!"... Przed dwoma laty państwo Thörry przyjęli na mieszkanie krewną swoją 23 letnią Ilonę Rarsz, przybyłą z prowincji do Budapesztu. Półślepy starzec zdołał jednak doskonale zauważyć urodę młodej dziewczyny i zakochał się w niej bez pamięci... Ostrożnie i „po ojcowsku" począł się umizgać do pięknej Ilony. Jednakże żona spostrzegła, co się święci i czyniła mu ostre sceny zazdrości, a w końcu wyrzuciła z domu dziewczynę...

— Pozbawiła mnie ta stara jędza jedynego promyka szczęścia w tym ponurym domu! — oto słowa 65 letniego starca. — Nie cierpiałem tej jędzy! Krytycznej nocy nie zmrużyliśmy oka, kłóciliśmy się,.. Świtało już, gdy poszedłem do kuchni i przyniosłem sznur, którym udusiłem ją... Powtarzam raz jeszcze, nienawidziłem jej i nienawidzę z całej duszy!"

Igła w sercu. Z Wiednia donoszą o fakcie niezwykle śmiałej, wprost sensacyjnej operacji chirurgicznej, przeprowadzonej szczęśliwie przez Dra Gelbenegera w tamtejszej klinice. Do kliniki przywieziono mężczyznę niebezpiecznie rannego. W chwili badania ranny zmarł, tak przynajmniej należało stwierdzić, bowiem serce przestało bić, gdyż do wnętrza serca dostało się powietrze. Doktór Gelbeneger błyskawicznie zorjentował się w sytuacji i wbił w serce rannego długą igłę strzykawki, zapomocą której wypompował z serca powietrze. Po krótkim masażu serce znów rozpoczęło swą działalność i ranny jest obecnie na drodze do zupełnego wyzdrowienia.

Siedmsetna rocznica śmierci św. Antoniego. Z inicjatywy biskupa, burmistrza i O. Franciszkanów miasto Padwa wystosowało do całego świata zaproszenie na uroczystości z okazji 700 nej rocznicy zgonu św. Antoniego. I cały świat katolicki odpowiedział na to zaproszenie z wielkim zapałem. Uroczystości jubileuszowe rozpoczną się w maju r. b. i będą trwały do październik 1932 r., obejmując swym programem różne ceremonje religijne, obchody, wystawy, kongresy i pielgrzymki. Jubileusz rozpocznie się w dniu 19 maja, a dnia 13 czerwca, w rocznicę śmierci Świętego, kardynał legat odprawi pontyfikalną Mszę św. przy ołtarzu Wielkiego Cudotwórcy. Obecnie organizowana jest również wielka międzynarodowa wystawa nowoczesnej sztuki chrześcijańskiej, która będzie otwarta od czerwca 1931 r. do lipca 1932 r. i w której obok najlepszych artystów włoskich wezmą udział malarze siedmiu innych narodów. Rozpoczęcie uroczystości upamiętnione zostanie ukończeniem we wszystkich szczegółach — w siedmiu wieków po zbudowaniu świątyni — dekoracyj malarskich absydy i nowych ołtarzy bazyliki antonjańskiej. Padwa przygotowuje się do godnego przyjęcia licznych rzesz wiernych, którzy w znacznej części już zapowiedzieli swój przyjazd z Włoch i zagranicy.

Wyprawa chłopca po złoto. 16-letni Maks Glanz miał przed kilku tygodniami ukończyć termin u majstra piekarskiego w Lubece, lecz musiał się jeszcze douczać dalej, gdyż uznano, że jest jeszcze .. głupi. Chłopak był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Przypisywał to niepowodzenie winie majstra, zaprawiającego go więcej do zajęć gospodarczych, niż do nauki w rzemiośle. Majster zaś innego był zdania: uważał, że Maks zbyt wiele poświęca czasu lekturze sensacyjnych powieści

awanturniczych. Istotnie Maks książki pożerał i poświęcał im każdą wolną chwilę czasu. Wyobraźnia jego pełna była niezwykłych obrazów i osobliwych przygód, które zaprzątały go nawet podczas snu. Pewnego razu śniło mu się, że został poszukiwaczem złota w Kalifornji i znalazł tam drogocenną bryłę szlachetnego kruszcu. Sen ten wydał mu się znakiem Przeznaczenia. Uciekł od majstra i zniknął bez śladu. Dopiero w kilka dni później znaleziono go na okręcie handlowym „Morgenstern" w Hamburgu. Zgłodniały i trzęsący się z zimna tkwił gdzieś między pakami i bagażami. Przy sobie miał stary, zupełnie nieużyteczny rewolwer, który kupił u jakiegoś kramarza w Lubece, oraz dwie równie zepsute strzelby. Ponadto zaopatrzył się w lasso, które sam sobie zmajstrował, aby mieć czem „polować na zwierzynę", jak sam oświadczył. Niestety „piękny" sen chłopaka nie ziścił się i musiał on znowu powrócić do pieczenia bułek i chleba. Odtransportowano go bowiem z powrotem.

„Krwawy karnawał" urządzili komuniści w Stuttgarcie, przeciągając demonstracyjnie pochodem przez główną ulicę śródmieścia. Tłum napadł na przechodzącą ulicą kobietę, zdarł z niej suknię i usiłował zmusić ją, ażeby naga stanęła na czele pochodu. Demonstranci nieśli trumnę, opatrzoną hitlerowskiemi „Hackenkreutzami". Policja zmuszona była interwenjować, przyczem dla rozpędzenia demonstrantów użyła białej broni. 15-tu policjantów zostało ranionych. Awanturnicy usiłowali przerwać ruch tramwajowy, układając na szynach rozmaite przeszkody.

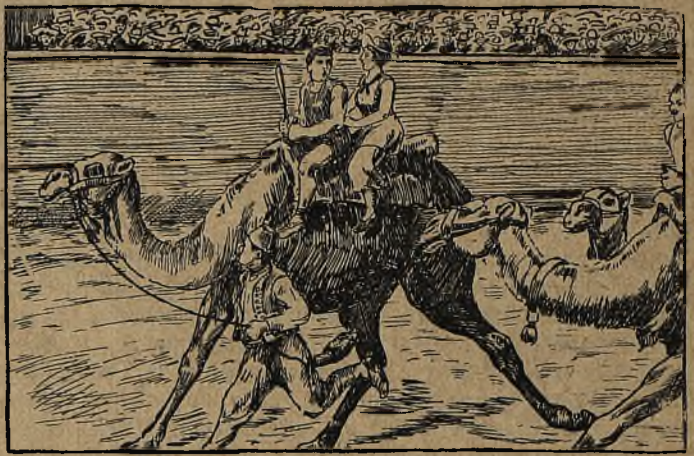
Głowa kobiety w zawiniątku. W sieni jednego z domów, znajdujących się w samem centrum miasta Berlina, znaleziono w godzinach wieczornych jakąś paczkę. Po bliższem jej obejrzeniu zauważono ślady krwi. Gdy paczkę otworzono, obecnym przedstawił się straszny widok. Paczka zawierała odrąbaną od tułowia głowę kobiecą. Według przeprowadzonych dochodzeń, głowa pochodzi od ciała kobiety, mogącej liczyć około lat 30. Zdaniem rzeczoznawców, głowę odcięto tasakiem rzeźnickim lub cięższą siekierą.

Spóźnione wyznanie miłości. Z Birmingham w Anglji donoszą o niezbyt pochlebnej dla poczty tamtejszej wędrówce pewnych listów miłosnych. Zdarzyło się, że przed 22 laty niejaki pan T. R. Winshull, obywatel Birmingham, oświadczył się wybrance swego serca, został jednak zawiedziony w swych afektach. P. Winshull przeżył tę stratę, ożenił się po roku z inną, żył szczęśliwie w tym związku 22 lata i pozostawił kilkoro dzieci. W roku 1923, a więc w 22 lata po małżeństwie p. Winshulla, syn jego, pan Tom Winshull otrzymał list, w którym nieznana mu panna Lili wyraża żal, że zbyt pospiesznie powzięła decyzję odrzucającą propozycję małżeństwa, że gotowa jest spotkać się z nim w dniu oznaczonym i pomówić o małżeństwie. Młody Winshull nie przypominał sobie znajomości z osobą tego imienia i dopiero, gdy rzucił okiem na datę, spostrzegł ze zdziwieniem, że list odnosi się do jakiegoś wydarzenia z dnia 14 marca roku 1909. Młody człowiek domyślił się, że chodzi tu... o sprawy miłosne nieboszczyka ojca. Biedna panna Lili nie dowiedziała się zapewne nigdy, co było powodem milczenia ze strony człowieka, którego w istocie kochała i któremu chciała oddać swe serce. P. Tom Winshull nie wniósł jednak z tego tytułu pretensji o odszkodowanie, gdyż, jak oświadczył filozoficznie... temu „małemu" opóźnieniu listu zawdzięcza niewątpliwie swoje przyjście na świat.

Napad dzieci na pałac carski. Z Moskwy donoszą: Tłum bezdomnych dzieci dokonał napadu na pałac carski w Gatczynie. Dzieci uzbrojone w kije i noże zaległy pałac cesarski, aby tam znaleźć trochę ciepła i uciec od wielkich mrozów. Wezwano oddziały GPU., które siłą poczęły wypędzać dzieci z pałacu. Rozpoczęła się walka Kilkadziesiąt dzieci zostało zabitych i ciężko rannych, dwóch agentów GPU. zmarło. Pałac częściowo zdemolowany.

Tragedja w więzieniu. W Mińsku sowieckim podczas rannej przechadzki więźniów politycznych jeden z eskortujących strażników dostał nagle ataku szału i począł strzelać do spacerujących więźniów. Szaleniec zabił jednego z nich, dwóch zaś ciężko zranił. Pozostali więźniowie, widząc, iż oszalały dozorca w dalszym ciągu strzela, rzucili się do ucieczki. Na odgłos strzałów przybył komendant więzienia, który, nie orjentując się w sytuacji i sądząc, iż więźniowie zbuntowali się, dał rozkaz strzelania do uciekających. Dwóch więźniów zastrzelono na murze, trzech zaś odniosło rany. Gdy się sprawa wyjaśniła, komendant polecił niezwłocznie aresztować obłąkanego strażnika.

Wyścigi na wielbłądach. Jak u nas odbywają się wyścigi koni, które kierowane są przez wytrawnych jeźdźców, tak w Egipcie urządzają wyścigi wielbłądów. Niezgrabne i ociężałe te zwierzęta nie dorównują w biegu ani w przybliżeniu koniom, toteż szybko biegnący człowiek potrafi im w zupełności nadążyć, a nawet prześcignąć.



Na naszym obrazku widzimy takie wyścigi. Ludzie, mający pieniądze na taką zabawę, biorą także udział w wyścigach na wielbłądach, przyczem rozgrywają się między patrzącymi zakłady, który wielbłąd pierwej przybiegnie do mety.

Nowa gorączka złota w Kanadzie. Ludność południowo-zachodniej części Kanady ogarnięta została obecnie prawdziwą gorączką złota, która spowodowała masową emigrację do pustynnych gór Livingstone w pobliżu granicy Stanów Zjednoczonych. W górach tych miano bowiem natrafić na bogate pokłady złota i platyny, legendarną „kopalnię Lemana" tak nazwaną od jej odkrywcy, który zamordowany temu lat 60 przez Indjan, pozostawił tylko wieść o nieprzebranych skarbach. Po długich a nadaremnych poszukiwaniach przeszły one do legend traperów Dalekiego zachodu, a obecnich sama wieść o ich odnalezieniu zelektryzowała ludność.

Nowy ląd. Z Wellingtonu na Nowej Zelandji donoszą: Jak obecnie stwierdzono, w strefie nawiedzonej w ostatnim czasie gwałtownem trzęsieniem ziemi na Nowej Zelandji wyłonił się z dna morskiego obszar nowego lądu Liczne skamieniałe pnie drzew wskazują, że chodzi o obszar leśny, który ongiś zapadł się w morze. Na terenie tym pokazały się liczne źródła gorące.

RZECZY CIEKAWE.

Walki kogutów.

Mieszkańcy archipelagu malajskiego są zagorzałymi zwolennikami różnych zawodów sportowych, połączonych z zakładami o pieniądze. Na wyspie Madura, wielką wziętością cieszą się wyścigi buhajów i wyścigi gołębi. Na Jawie, do niedawna najmilszą rozrywkę stanowiła walka zapaśników z tygrysem. Na wyspie Bali najpopularniejsze są walki kogutów. O mieszkańcach wyspy Bali można śmiało twierdzić, że połowa ich życia upływa na grze, tak silnie w nich rozwinięta jest żyłka do hazardu wszelkiego rodzaju.

Coprawda, mężczyźni tamtejsi mają b. dużo wolnego czasu. Pracę spełniają kobiety, które zajmują się nawet handlem. Mężczyźni zaś zaabsorbowani są całkowicie walkami kogutów. Bogacze mają po kilkadziesiąt, a nawet i kilkaset kogutów, ubodzy kilka, ale i najuboższy posiada conajmniej jednego koguta, w którym pokłada wszystkie swe nadzieje.

Dzień walki kogutów to dla mieszkańców wyspy Bali b. wielka uroczystość. W wigilję dnia tego panuje niebywałe podniecenie we wsi. Dysputy trwają do późnej nocy, starzy i młodzi omawiają zawzięcie szanse swoich pupilów-kogutów, a nawet aranżują próbne zawody, by rozbudzić w kogutach większy temperament bojowy. W sam dzień walki cała wieś od wczesnego ranka jest na nogach. Wszyscy odświętnie przybrani. Schodzą się bogaci bramini i książęta. Przed pałacem wodza wsi stoją rzędem kosze, w których przyniesiono koguty. Polem walki jest albo wielki dom zebrań lub plac pod gołem niebem. Dookoła wytyczonego placu walki zasiadają widzowie półkolem. Ogólne podniecenie udziela się i kogutom zamkniętym w koszach. Koguty drą się w niebogłosy i wpadają w formalny szał.

Bezpośrednio przed rozpoczęciem walki, odbywają się zakłady pieniężne. Jeden z obecnych zbiera pieniądze. Przyznać trzeba, że po ogłoszeniu wyniku walki nie przychodzi nigdy do kłótni między stronami. Na dany znak wyciągają właściciele swoje koguty z koszy. Kogutowi do jednej nogi przywiązują nożyk długości 10 cm. ostro wyostrzony po obu bokach. Rozlega się gong i walka się rozpoczyna.

Koguty walczą z sobą z wielką zaciętością. Wyjątkowo tylko, niektóry z zawodników zdradza chęć salwowania się ucieczką. Takiego tchórza natychmiast chwytają i wszelkimi sposobami zmuszają do walki.

Walka nie trwa dłużej jak dwie lub trzy minuty; uderzenia ostrym nożem są zazwyczaj śmiertelne.

Dziwactwa ludzkie.

Według Burjatów, jeżeli przez czapkę, lub pas przejdzie kobieta, albo pies, rzecz ta staje się nieczystą. Przywraca się zaś owym rzeczom utraconą czystość, gdy się je trzykrotnie, tam i z powrotem, przeciągnie przez ogień, odmawiając przy tem odpowiednią modlitewkę.

Sposób przyrządzania wody do odczyniania uroku, którego się trzymają na Węgrzech, jest następujący:

Do naczynia napełnionego wodą, albo uryną, wrzuca się trzy węgielki. Jeżeli jeden z nich tonie, uważa się to za dowód, że dziecko zostało urzeczone. Jeden z wrzuconych węgielków oznacza mężczyznę, drugi kobietę, trzeci dziecko. Stosownie do tego, który z węgielków tonie, wnioskują, kto na chore dziecię rzucił urok. Wodę, w której gaszono węgiel daje się później pić urzeczonemu dziecku, a potem myje się mu nią twarz. Obmytą twarz obcierają pacjentowi albo odwrotną stroną koszuli, albo też dołem koszuli jego matki.

W niektórych miejscach zamiast trzech, topią w wodzie siedm lub dziewięć węgielków i wodę tę dają pić nieborakowi, aż się spoci.

W Dalmacji tamują krwotok z nosa zażywaniem tabaki, zmieszanej z sadzami, zeskrobanemi z kotła lub garnków, zaś gdy się kto oparzy, nacierają mu całe ciało olejem, poczem natarte miejsca posypują sadzami z kotła.

Na Białej Rusi w razie boleści żołądka, jeżeli podejrzenie zachodzi, że są one następstwem urzeczenia, dają choremu wypić w wódce gliny, naskrobanej z czeluści pieca, oraz błota, naniesionego nogami pod próg domu.

Ochrona włosów i cery.

Każda z kobiet powinna pamiętać, iż wśród roślin i owoców posiada szczerych przyjaciół, którzy chętnie przyczynią się do odzyskania i utrzymania jej urody. Przedewszystkiem więc wspomnimy o wprost cudownem działaniu cebuli, która już w 18 wieku uważaną była przez ówczesne elegantki za prawdziwy uniwersalny kosmetyk. Kobiety wschodnie również uznają kosmetyczne zalety cebuli, która jest tam bardzo popularną. Przy wypadaniu włosów sok z cebuli jest środkiem niezawodnym — należy natrzeć nim głowę przed umyciem, najlepiej uczynić to na noc. Sok z cebuli jest również zalecany na świeżość cery, naciera się nim zlekka twarz na noc, oprócz tego cebula skutecznie usuwa odciski i stwardnienie skóry.

Świeże fjołki, ugotowane w mleku stanowią znakomity środek na delikatność i świeżość cery. Po ugotowaniu kwiatów mleko należy przecedzić, zlać do butelki i nacierać niem twarz.

Płatki z lilji macerowane w alkoholu mają usuwać znaki po bliznach i zmarszczki.

Liście i roślina rozmarynu, zagotowana w wodzie jest również skuteczna przeciw zmarszczkom.

Sok z bakłażanów jest niezawodnym środkiem przeciw czerwoności skóry i przeciw liszajom.

Jednym z najskuteczniejszych środków na świeżość cery jest ocet z malin.

Na litr świeżych malin nalewa się litr gorącego, gotującego się octu, dodaje kieliszek spirytusu, ostudza, zlewa w butelki, korkuje i zostawia do macerowania na 2 miesiące, następnie filtruje i używa jako ocet toaletowy.

Szkody wyrządzane przez szczury.

Jak obliczono, w Indjach wschodnich najniebezpieczniejszemi zwierzętami nie są tygrysy, pantery lub węże jadowite, lecz szczury, które roznosząc zarazki dżumy, trichinozy, wścieklizny i t. d. są przyczyną śmierci miljona osób rocznie, nie mówiąc już o niesłychanych szkodach, wyrządzanych przez te gryzonie w spichrzach i spiżarniach.

Zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek Gabzdyl** w M. K.: Czybyśmy wspomniany artykuł wydrukowali, trudno nam odpowiedzieć, nie znając owego artykułu. Obrazek „Lilla Weneda“ jeszcze w teczce redakcyjnej; „Ocknij się mamo“ był z innym tekstem, gdyż Pański gdzieś zaginął. — **Władysław Bała** w Z.: Humoreska o złodzieju i chłopie zbyt znana;

zagadki zamieścimy. Brakujące numera z 1930 roku można otrzymać po 30 gr. — **Jakób Pieczka** w Z.: Dosłownie taki sam wiersz, jaki Pan ułożył obecnie dla „Roli", ułożył również jeden z poetów ludowych przed dwudziestu kilku laty i zamieścił go z własnym podpisem w pisemku dla młodzieży p. t.: „Jutrzenka Polska". — Dziwny zbieg okoliczności! — **Eugenjusz Zdun** w K.: „Głód" przeznaczamy do druku, kiedy jednak go zamieścimy, trudno nam oznaczyć, gdyż pierwej muszą pójść utwory konkursowe. — **Katarzyna Jackiewicz** w Ch. W.: Udatny wierszyk zepsuł jeden rym, a mianowicie: „żywota-wzlata". Słowa te nie rymują się. — **Łukasz Michałków** w B.: W nadesłanej powieści treść dość zajmująca, ale styl bardzo słaby. Chcąc ją wydrukować, trzeba całość stylistycznie zupełnie przerobić. — **Józef Jekot** w W.: Narazie nie mamy żadnego nowego zgłoszenia. Jeżeliby się ktoś zgłosił z tamtych okolic, podamy mu Pański adres. — **„Rom-Ort** w W.": Na ten sam temat mamy w tece kilka artykułów, a z powodu braku miejsca odkładamy je ciągle na później. Nie możemy więc Panu przyobiecywać, że utwór jego wydrukujemy. A dlaczego Pan przysyła stale listy nieopłacone? Rękopisy trzeba opłacać, jak listy zwykłe, bo rękopis nie jest przecież drukiem. — **P. F.** w K.: „Tragizm wsi" nie nadaje się do druku, zupełnie. — **Krakowianin:** Wierszyk na Popielec przyszedł zapóźno. — **Podhalanin z Miejsca:** Sarna a jeleń to dwa zupełnie różne zwierzęta; nie mógł więc jeleń być synem sarny, jak to Pan opisuje w swem opowiadaniu. Prosimy przysłać 80 groszy w liście znaczkami pocztowemi, a Podręcznik wyrobu win wyślemy Panu. — Wyrabiać wina domowe może każdy ile chce. — **Leopold Wołek** w Rz., **Stanisław Gryzełko** w B., **Józef Kawalec** w T., **Wł. Sowiźrał** w J., **Wojciech Gliwa** w D., **Wł. Wicherek** w B.: Nadesłane zagadki w miarę miejsca zamieścimy. — **Jan Bernyś** w G.: Wszystkie trzy legendy o kwiatach zamieścimy, jak również i wierszyk p. t.: „Prowadź mnie Marjo!" Trudniej będzie z obrazkiem. Artykuł p. t. „Cudowny Obraz M. B. B. Sulisławskiej" leży w tece i czeka na druk, choć jakoś trudno mu się doczekać. Ponieważ posiada Pan wybitne zdolności rysownicze, możeby Pan na przyszłość sam do swoich utworów porobił rysunki? — **Jan Guzik** w H.: Długi płacić musi mąż za żonę jak i żona za męża, gdy one są narobione na potrzeby domowe, np. cukier, mąkę, kaszę i t. d. Natomiast sąd nie zmusi męża do płacenia długów za żonę, gdy te długi były narobione za pobrane czekoladki, cukierki, torty i t. p. zbytek. Albo też w wypadku nabycia przez żonę na kredyt futra na np. zimę za 2.000 zł., podczas gdy stan ich dozwala na futro 600 zł. wartości. Od wyroku można zrobić rekurs. W drugiej sprawie przedewszystkiem urząd pocztowy nie wypłaci pieniędzy synowi, jeżeli odbiorczynią ma być matka. Gdyby się tak stało, to poczóż skarżyć syna, który pieniądze dawno puścił, lepiej tego, co niepowołanemu wypłacił. — **Franciszek Okoń** w P.: Wyraźnie napisane na zakupno gruntu a nie na budowę. — **Stanisław Papla** w J.: Jakto, to wójt w Janowicach nie posyła po pocztę ani w piątek ani w sobotę, ale dopiero w poniedziałek? Niechże Pan się oto póżne doręczanie zapyta wójta i niech nam Pan napisze. Z listu wynikałoby, że wójt raz na tydzień posyła po pocztę, a to jest niedopuszczalne. — **L. Kuboszek** w D.: Pod wskazanym adresem wszystkie numera od N. Roku posłaliśmy, również i Pan ma wszystko wyrównane. Za miłe słowa uznania dla „Roli" serdecznie dziękujemy. Cześć! — **Jan Maciąg** w T.: Jakie dokumenta są potrzebne, to Panu napisze Państwowy Urząd Pośrednictwa Pracy, do którego należy się zwrócić.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę amerykańskie.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Część.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Drzewo.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Ukształtowanie ziemi.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ Premjer rumuński.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Opłata.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Rosji.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Cenna rzecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Huragan.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Narzędzie ciesielskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Tyle co kawaler.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Wyspa przy ujściu Odry.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię męskie zdrob. 5 prz.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Droga.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Lud Zaporoża.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Wyrabiający płótno.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Stajnia.

Litery wstawione w miejsce kwadracików dadzą imię i nazwisko bohatera polskiego, walczącego o jej wolność.

2. Szarady.

(Ułożyi Andrzej Zakielasz z R.).

I.

Od pierwszej z trzecią niech was Bóg [uchowa,
Niech jej nie ściągnie uczynek ni mowa,
Pierwsze i drugie użytku ma wiele,
Bywa na łóżku, bywa i w kościele,
Drugie i trzecie jak to dobrze wiecie
W każdym tańcu odnajdziecie.
Drugie i pierwsze różne mieści rzeczy,
Że wszystko smaczne mało kto zaprzeczy.

II

Pierwsze miara powierzchni
Dobrze wszystkim znana,
Trzecie drugie na rzekach bywa budowana,
Gdy nie starczy ci forsy
Czasem los tak sprawi
To pierwsze wspak trzecie wprost
Z kłopotu wybawi,
Ozdobę obrazu pierwsze drugie macie,
Zaś całość przy wojsku łatwo wyszukacie.

3. Łamigłówka.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).

. ię . . . y . ia . e . . . y . . o
. . . a . y

W miejsce kropek wstawić spółgłosk i odczytać złotą myśl Żeromskiego.

4. Bilety wizytowe.

(Ułożyła L. Smagowicz.

I.

Genek Ziemba Bielsko ul. Nuny Rychernat

II.

Stefa Ziemba w Krakowie u Jańci Szin

III.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).

Natan Miakpiryrka.

Po przestawieniu liter otrzymamy zajęcia powyższych osób.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 6-go marca b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 7 „Roli": 1. Logogryf: Dwernicki—Skrzynecki. 2. Szarady: I. Kapusta. II. Parcela. III. Paschalis. 3. Łamigłówka do uzupełnienia: Malarz-umarły—armata-ślimak-Panama.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Stefan Dudek z N., Józef Półtorak z K., Jan Kierepka z T., Mieczysław Świętoniowski z M., Antoni Krótki z M., Stanisław Gryzełko z B., Adam Bodzenta z Cz., Franciszek Starek z S., Wł. Sowiźrał z J., Józef Topolski z B., Józef Skawina z P., Władysław Gąsienica z Z., Aron Blaser z T., Jan Gara z W., Franciszek Gabzdyl z M. K., Wojciech Gliwa z D., Daniło Dokić z K., Kazimierz Strusiewicz z K. P., Piotr Nowak z Ż., I. Sojka z D., Stanisław Kościelniak z K., Józef Cieplik z K., Józef Lose z M. K., Helena Bandułówna z M., Stanisław Papla z J., Stefanja Paplówna z J., Antoni Nycz z J., L. Pawlaczyk z K., Marja Żelazowska z T., Hania Nord z F., Franciszek Kawczak z O., Marja Woźniakiewicz z G., Szymon Masny z P., Wincenty Kula z M. K., Andrzej Dudek z N., Czesław Pawlasek z F., M. Knapik z T., Władysław Wicherek z B., Józef Kawalec z T.

Nagrody wylosowali pp.: Stefanja Paplówna z J. i Andrzej Dudek z N.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Troskliwy syn.

Pewien włościanin, leżąc w łóżku, uczuł nagłe pragnienie i woła do śpiącego obok siebie syna:

— Wojtuś, przynieś mi wody!

Ponieważ jednak Wojtuś nie słyszał, więc ojciec wołał na niego kilkakrotnie, co słysząc drugi syn, Bartek, odezwał się do ojca:

— Bo jemu się to chce wstać. Wstańcie, tatulu, to się sami napijecie i mnie też przyniesiecie...

U fotografa.

Klient: Z tego zdjęcia jestem niezadowolony; wyglądam tu jak małpa.

Fotograf: Szkoda, że szanowny pan nie pomyślał o tem przed zrobieniem zdjęcia.

Optymista to taki człowiek, który wierzy, że wszyscy muszą umrzeć na świecie, ale w żaden sposób nie może sobie wyobrazić własnej osoby w trumnie.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 20 lutego b. r.

Pszenica	23·50—24·00	Słoma długa	5·00—5·50
Żyto .	17·50—18·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	20·00—21·00	Koniczyna na-sienn. czer.	220·00—250·00
Jęczmień .	19·00—20·00		
Fasola biała	38·00—42·00	Mąka żytnia	31·00—32·00
Groch zwyk.	27·00—32·00	Mąka pszen.	46·50—47·50
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby pszen.	14·00—15·50
Łubin żółty	34·00—38·00	Otręby żytnie	14·00—14·50
Koniczpastew.	14·00—15·00	Mąka czerw.	16·50—17·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 20 lutego b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·65 do 1·16 zł.	Jałownik	od 0·65 do 1·18 zł.
Woły . .	od 0·88 do 1·15 zł.	Cielęta .	od 0·85 do 1·47 zł.
Krowy .	od 0·58 do 1·10 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·35 do 1·65 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·40 do 2.00

Najpotrzebniejsze książki dla każdego sprzedaje i wysyła

Księgarnia „Wiedza i Sztuka"

KRAKÓW, ul. Gołębia 10/R.

Wysyłka po otrzymaniu pieniędzy z góry. Przy kupnie do 5 zł. załączyć także na koszta wysyłki 60 gr., przy kupnie ponad 5 zł na koszta wysyłki załączyć 1 zł 30 gr. gotówką lub w znaczkach pocztowych.

WIELKI ARABSKO-EGIPSKI SENNIK, z wieloma ilustracjami, według dawnych źródeł wiedzy tajemnej, z uwzględnieniem najnowszych odkryć w tej dziedzinie, wyd. Mirandolą, cena 6 zł.

SZTUKA WRÓŻENIA, ogólne zrozumiałe wyszczególnienie sztuki wróżenia z ręki, z twarzy, z miesiąca urodzenia, z kart i z fusów, z dodatkiem kabalistyczno-astronomicznej loterji, cena 1 zł. 50 gr.

PROSALUS DR.: Życie Płciowe. Przewodnik dla Małżonków, cena zł. 2.—.

ROŚCISZEWSKI: Tajemnicze Siły w Miłości. Poradnik dla Pań i Panów, zł. 1.80.

NAJNOWSZA KABAŁA WSZECHŚWIATOWA czyli sztuka wróżenia z kart, według słynnej wróżki francuskiej Lenormand, z dodaniem 48 kart, razem 80 gr.

ÓSMA I DZIEWIĄTA KSIĘGA MOJŻESZA w oprawie 10 zł.

SZÓSTA I SIÓDMA KSIĘGA MOJŻESZA w oprawie 10 zł.

ALBERTUS MAGNUS, egipskie tajemnice dla ludzi i bydła 10 zł.

DR MUELLER: Najnowszy lekarz domowy z ilustr. 80 gr.

MAJEWSKI: Tresura psa pokojowego — 3 zł. 60 gr.

JAK WINSZOWAĆ? — wielki zbiór powinszowań imieninowych, noworocznych i okolicznościowych — 3 zł.

ŚPIEWNIK MIŁOSNY, śpiewy miłosne, weselne, z operetek, krakowiaki i t. p. — 90 gr.

NAJNOWSZY FLIRT SALONOWY czyli tajemna rozmowa kwiatów z 44 kartami — 50 gr.

NAJNOWSZA WIELKA KUCHNIA WARSZAWSKA, zawiera 1200 przepisów różnych potraw, przez Owoczyńską — cena 3 zł.

KUCHNIA DOMOWA, praktyczna książka kucharska mała — cena 60 groszy.

STO PIĘĆDZIESIĄT POWINSZOWAŃ dla dziatwy szkolnej — 40 gr.

TANGEY KUNT PROF. DR.: Zboczenia płciowe — 80 gr.

MICIŃSKI: Nerwowość, histerja, neurastenja i hypochondrja — zł. 1.50.

DR KARMA: Jasnowidzenie, wykład w obudzeniu drzemiących sił duszy ludzkiej, z licznemi doświadczeniami — 2 zł.

DR. CZ. PENDO: „Poradnik dla młodych mężatek. Małżeństwo, ciąża, płodność, poród. Sekretne sposoby małżeńskie, pielęgnowanie niemowląt". Zł. 1.60.

DR. KAZIM. RADWAN-PRAGŁOWSKI. Spotęgowanie Woli. 4 tomiki Zł. 1.20.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Mnemonika". Sztuka wyrobienia doskonałej pamięci. Usuwanie roztargnienia, wzmacnianie zdolności umysłowych. Zł. 2.—.

DR. M. ROSEN: „Życie seksualne a choroby weneryczne". Syfilis, paraliż postępowy. Zł. 1.—.

DR. MISIEWICZ: „Samogwałt u mężczyzn i kobiet". Jego skutki i środki wyleczenia. Zł. 2.—.

DR. MED. E. JOZAN: „Życie płciowe kobiety". Znaczenie stosunków płciowych. Ciąża. Rozwój płodu. Poród. Cenne rady i wskazówki. Zł. 1.50.

DR. QUEYRAT: „Miłość i małżeństwo". Uwodziciele. Shańbione dziewczęta. Handel żywym towarem. Związki nieślubne. Dzieci z nieprawego łoża. Sutenerstwo. Prostytucja. Policja obyczajowa. Zł. 1.50.

DR A. KORAB KORABIEWICZ: „Choroby weneryczne". Uleczalność syfilisu i innych chorób. Zł. 1.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Zwycięstwo w miłości"! — Jak zdobyć miłość ukochanej osoby. Czary, amulety i talizmany. Zł. 2.—.

ST. A. WOTOWSKI: „Wielka księga cudów i tajemnic" „Czarna i Biała Magja". Tajemne praktyki, zaklęcia i recepty, z wielu ilustracjami. Zł. 4.—.

T. KUTZ: „Doświadczenia spirytystyczne — stoliki wirujące". Jak urządzać seanse spirytystyczne. — Zjawiska, eksperymenty i doświadczenia. Słownik terminów okultystycznych. Zł. 2.—.

FR. SZMURŁO: „Ze świata tajemnic". — Spirytyzm. Okultyzm. Metapsychika. Komunikaty zaświatowe. Ewokacje zmarłych. Telepatja. Lecznictwo medjalne. Magnetyzm. Zdolności. Powodzenie w miłości. Leczenie wszelkich nałogów. Jasnowidzenie. Zł. 3.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: Praktyczny podręcznik Chiromancji (linje rąk), fizjognomika (rysy twarzy), astrologja (nauka wpływu gwiazd na losy), z ilustr. Zł. 3.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Spotęgowanie woli". Jak zostać silnym i wyzwolonym człowiekiem. Zł. 1.50.

SZYLLER-SZKOLNIK. Z kim się ożenić. Jak poznać przyszłą żonę? Zł. 1.—.

SZYLLER-SZKOLNIK. Za kogo wyjść zamąż? Zł. 1.—.

Zawiadamia P. T. Publiczność, zajmującą się teatrami amatorskiemi, że jej nakładem wyszły z druku oddawna pożądane sztuki teatralne popularnego **autora Kazimierza Majeranowskiego,** mianowicie:

OBYWATELKA Z KROWODRZY — wodewil ze śpiewami, kupletami i tańcami w czterech aktach, z muzyką Józefa Maleczka, z ilustr.

MUCHY KLEPARSKIE — wodewil ze śpiewami, kupletami, tańcami i weselem krakowskim — w czterech aktach, z muzyką prof. Michała Świerzyńskiego.

ZMORY — sztuka ludowa ze śpiewami, kupletami i tańcami w 4 aktach, z muzyką Kazimierza Emskiego, nadającą się dla teatrów włościańskich.

GDZIE DJABEŁ NIE MOŻE, czyli **NASZE SŁUGI** — wodewil ze śpiewami, kupletami i tańcami, osnuty na tle życia kolejarzy, w 5 aktach, z muzyką St. Ekiera.

Powyższe wszystkie sztuki, śpiewy i kuplety są zaopatrzone nutami na jeden głos z podkładem słów i kompletną muzyką na fortepian. — Cena po 4 zł. egzempl.

K. KRUMŁOWSKI: Białe fartuszki, wodewil w 4 aktach z tańcami, muzyka St. Ekiera 2 zł. „Królowa Przedmieścia", wodewil w 5 aktach z tańcami, muzyka W. Powiadomskiego 2 zł. „Śluby rybackie", wodewil w 4 aktach, muzyka Z. Górzyńskiego 2 zł. Przewodnik tatrzański, wodewil w 4 aktach, muzyka J. Tesarzika 2 zł. — Zbiór komedyjek (sześć) razem 80 gr.

DR. K. DREKSLERA i DR. R. WANDERBOWNA Higieniczno-zapobiegawcze środki w intymnem życiu kobiety. O środkach i sposobach zapobiegania ciąży. Nowość r. 1930. Cena zł. 2.40.

PR. SZMURŁO: „Sen, jego symbolika i nadświadomość". Sny prorocze. Jasnowidzenie we śnie. Sny pod wpływem narkotyków. Lunatyzm. Letarg. Wspomnienia z poprzednich bytów. Spotęgowanie zdolności Przypomnienie zapomnianego. Zł. 2.—.

ST. A. WOTOWSKI: „Tajemnice życia i śmierci". Życie pozagrobowe, siedm rozdziałów. Zł 1.50.

P. SZMURŁO: „Świat nadzmysłowy i metoda jego badania". Zdolności nadnormalne. Zł. 1.—.

DR. WERNER: „Masaż". Leczenie wszelkich chorób zapomocą masażu. Z 14-ma ilustracjami. Zł. 1.50.

SCHREIBER M. Przewodnik Stolarski, wiadomości zwyczajnego i zbytkownego materjału i technologji mechaniczny z 146 ilustracjami — zł. 5.

KEHREN FR. DR MED. W cztery oczy szkoła miłości małżeńskiej, ilustrowane Zł. 7.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: Astrologja Kabalistyczna, ułożona na zasadzie rewelacji słynnego medjum M-lle Ewigny-Rara. Zł. 2.—.

WOTOWSKI ST.: Magja i Czary. Z dziedziny wiedzy tajemniczej. Zł. 2.50.

WALEWSKA JANINA: Sztuka Pamięci (Mnemonika). Zł. 1.—.

KLECKI LEON: Samouczek Gry w Szachy, ilustrowane. Zł. 2.—.

ROSENBLUM DR. Samogwałt u mężczyzn i kobiet i jego skutki. Zł. 0.60.

NAJNOWSZE TAJEMNICE I ZAGADNIENIA CZARNEJ MAGJI: Hypnotyzm, Spirytyzm i Magnetyzm. Zł. 3.—.

Wielkie dzieło lekarskie, nowe lecznictwo przyrodne, książka do nauczania i podręcznik leczenia przyrodnego i ochrony zdrowia, zawiera 480 rycin, wiele tablic barwnych i 3 modele składane, ciała ludzkiego i jego wewnętrznych narządów, kolorowane. Dwa wielkie tomy ładnie oprawione, napisane przez Dr Biltza okazyjnie do sprzedania, cena zamiast 75 zł. **tylko 34 zł.**

KAPITANIAK LUC.: Podręcznik Radjoamatora. Radjotechnika Praktyczna, 78 szematów — zł. 1.—.

ARHENS SEBAST.: Kodeks Towarzyski. Jak się powinien zachować człowiek wytworny — zł. 1.—.

TUSZYŃSKI ADAM INŻ.: Samochód nowoczesny. Podręcznik dla szkół zawodowych, wyd. 7-me najnowsze z 243 rycinami — cena 13 zł. 80 gr.

KUTZ: Czy nagość jest grzechem? i co to jest całus? zł. 1.

PAWŁA STAŚKI powieści „Sabath Życia" 2 tomy 4 zł.

„ „ „ „Rumieniec Duszy" 2 zł.

„ „ Romans Autora z Bohaterką Powieści . . . . zł. 2. 50.

„ „ „Obłędny Śmiech" nowele 0.75.

KRUMŁOWSKI KONST.: Sto tysięcy żartów, figlów, dowcipów 0.50 gr.